

⊗ żołnierzu, tułaczu, który
borem, lasem idzie, z biedy
i z głodu przymierając czasem

Pamiętniki Leopolda Marsa

żołnierza i wygnańca

1848-1853

Wydał i przedmową opatrzył Ludwik Stasiak.

~~Własność
Juliana Mazia~~

W Krakowie MCMVIII

Gebethner i Spółka w Krakowie - Gebethner i Wolff
w Warszawie - Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie

K-1971/88

Z



M9776



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0508860

Gdyby te pamiętniki były pisane literackim stylem, gdyby autor ich kraje widziane, rzeczy widziane tęczą słów poety opisał, dramaty i sceny przeżyte literacko wyzyskał, dzieło jego byłoby niewątpliwie jedną z najpoczytniejszych książek. Sprawiłby to niesłychanie bogaty materiał, ogromna skala wrażeń, które żołnierz i wygnaniec przeżył na barykadach lwowskich się bijąc, w egzotycznej Afryce się tułając.

Tak jak są, nie będą te wspomnienia żołnierza zjawiskiem literackim, będą jednak pomnikiem, jak dawni ludzie i dawne pokolenia kraj kochały. Będą pomnikiem ducha czasu, echem ludzi, którzy nadzieją, jako żelazem opancerzone serce mieli. Niestety, klęska, oczywistość pogromu, nie były zdolne przebić żelaznego pancerza nadziei i ochłodzić serc. Te serca były tak otwarte dla wszelkiej wiary, jak nasze serca są otwarte dla wszelkiego pesymizmu i zwątpienia. Ci ludzie gotowi byli iść bez krytyki, bez zastanowienia się do każdego powstania, szli na wicher każdej politycznej awantury, nie pytając się dokąd ona wiedzie i jakie jej owoce;

nowożytny Polak literaturę polityczną powstań i te pamiętniki ze zdziwieniem, ze zgrozą, czasem może nawet z niesmakiem czytać będzie, pytając się jak można było fatom morganom wierzyć, jak można było za hasłem politycznej dziennikarskiej plotki iść, na hazard życie i mienie wystawiać. Bo nowożytnym sceptykom fakt imponuje. Powstania się nie udały, powstania kłęski sprowadziły, a więc czyn powstań był czynem szkodliwym i złym. A gdyby się powstanie było udało, to...

Smutne nad wyraz prorokowanie z przeszłości, marne gadanie: oni się mylili. Szkiełko mędrca i oko mówi, że oni się mylili. Ci ludzie z ery bohaterskich powstań matematycznie zbłądzili, ci romantycy ze sercem opancerzonym nadzieją, patrząc w Boga sprawiedliwego, idąc w bój, mówili: dwa razy dwa jest pięć. Myśmy pojęli ich błąd. Chcemy ten błąd naprawić. Chcemy kłęski uniknąć. Serca nasze ze zgaszoną nadzieją, serca nasze zamknięte dla wszelakiej nadziei, na oścież otwarte dla wszelakiego zwątpienia, na-

prawiają błędy poległych orłów i powiadają: dwa razy dwa jest trzy...

Dziś nam lepiej z tą mieszczańską, ostrożną rachubą. Ale dzieje narodu to nie dzisiejszy dzień. Przyszła historia zawyrokuje, kto w większym był błędzie, czy ci, co polegli na polach bitew, czy my, cali, kupczący, mędrkujący, plwający na krwawą przeszłość...

* * *

Leopold Mars brał udział i patrzył na wypadki, których opisać w pamiętniku swym nie zdołał. Uzupełniamy zatem ten pamiętnik wiadomościami zaczerpniętymi z papierów i autopsyi rodziny.

Leopold Mars mianowany oficerem brał udział w bitwach pod Sylistryą, Ruszczukiem i Dobrudzą. Z szeregów kozackich przeszedł potem do armii tureckiej, w której organizował kawaleryę. Podczas ekspedycyi sebastopolskiej wezwano go do sztabu francuskiego, gdzie służył jako tłumacz języków wschodnich. Kilkakrotnie ranny w batalii, wrócił do Konstantynopola, gdzie się z ran leczył. Gdy zcichła wojenna zawierucha, otrzymał

Urodziłem się w roku 1822 w Strzyżowicach, powiatu olkuskiego, w dawnym księstwie Siewierskiem, jako syn Kaspra Marsa i Elżbiety z Chodakowskich. Ojciec mój był właścicielem Strzyżowic, które od niepamiętnych czasów do r. 1863 pozostawały w rękach naszej rodziny. — Familia moja pochodzi z księstwa siewierskiego i należała do t. zw. szlachty siewierskiej. Wraz z resztą tej szlachty otrzymała po sekularyzacyi księstwa siewierskiego — polski indygenat. Dziad mój Jan Kanty był ożeniony z Maryanną z Swierczowskich, pradziad zaś nazywał się Jan, a żona jego Zofia, lecz jej rodowego nazwiska nie pamiętam.

Rodzina moja używa herbu zwanego »Noga«, który przedstawia tarczę złotą na dwie części wzdłuż podzieloną. W pierwszej ryba srebrna ogonem w lewy brzeg tarczy, łbem zaś ku górze obrócona, obok niej zaś z lewej strony głowy i z prawej strony ogona srebrna róża; w drugiej połowie gałązka róży z trzema u dołu listkami i trzema u góry rozkwitłemi różami.

Kiedy skończyłem ósmy rok życia, oddał mnie ojciec na prywatną »pensję« niejakiego »profesora« Grübbla. Pensya ta mieściła się w sąsiedniej wsi na wikarówce, a uczono w niej czytania, pisania, rachunków i początków niemieckiego. Wszystkich tych przedmiotów udzielał sam pan »profesor«, który wraz z nami korzystał się przed majestatem pani »profesorowej«. Energiczna ta niewiasta nie tyle dbała o napełnianie głów naszych mądrością, ile o napełnianie swej spiżarni zapasami oszczędzonymi na naszych żołądkach.

W pensyonacie tym, gdzie prócz mnie czerpało wiedzę jeszcze czterech młodzieńców, przebywałem lat dwa, poczem ojciec oddał mnie na dalszą naukę do Siewierza, gdzie była szkoła trzechklasowa i gdzie nawet początków łaciny uczono.

Po kilku latach pobytu w Siewierzu, pojechaliśmy wraz z moim starszym bratem Józefem do Krakowa, gdzie Józef zaczął uczęszczać do liceum św. Anny, ja zaś do szkoły technicznej. Obaj mieszkaliśmy w bursie jezuitów, a utrzymywaliśmy się z zasiłków udzielanych nam przez ojca.

W tym czasie ojciec mój ożenił się po wtórnie z panną Maryą Młodkowską, a nie mogąc przy szczupłych swych dochodach wystarczyć na utrzymanie domu, wobec zwiększonej rodziny, wstrzymał nam wypłaty dotychczasowych zasiłków. Józef poradził sobie sam, bo wyszukawszy sobie kilka lekcji utrzymywał się sam z tego źródła i dalej kontynuował swoje studia, ja niestety, nie mając z czego żyć, wróciłem do domu.

Po powrocie do domu, wziął mnie stryj mój do pomocy w gospodarstwie, a w końcu oddał mnie na dalszą praktykę agronomiczną do dóbr hr. Henryka Potockiego do Chrzóstowa.

Tu przebywałem do roku 1848. W karnawale tego roku pojechałem z dyrektorem cukrowni chrzostowskiej do Warszawy, dla załatwienia kilku spraw. Trafiliśmy na chwilę wybuchu rewolucji paryskiej. Wieść o tem zdarzeniu lotem ptaka przybieżała do Warszawy i w sercach naszych obudziła nadzieje interwencji francuskiej na korzyść sprawy naszej. Mówiono powszechnie o wybuchu powstania, jako o rzeczy bardzo bliskiej. Po

kilkudniowym pobycie w Warszawie, wróciłem do domu, z sercem pełnym oczekiwania i wzburzonym umysłem. Postanowiłem też wybrać się zaraz do Krakowa, gdzie jak słuchy dochodziły, emigracja paryska miała powstanie organizować.

Dla odmalowania ówczesnych stosunków muszę przytoczyć fakt, jaki mi się w czasie ówczesnego pobytu w Warszawie wydarzył. Przed samym wyjazdem przyszedłem do biura policji po paszport. Urzędujący komisarz nie chciał mi wydać paszportu, lecz kazał mi zatrzymać się do przybycia Dyrektora. Ciarki mnie przeszły, bo trzeba wiedzieć, że dla uniknięcia służby w wojsku rosyjskiem, byłem za fałszywym paszportem austriackim, który zdołałem uzyskać w Krakowie. Nadrabiam jednak miną, aż po chwili nadchodzi dyrektor policji pułkownik Abramowicz i impertynenckim tonem poczyna mi robić uwagi, że obowiązkiem moim było zgłosić się natychmiast po przyjeździe do policji. Na tłumaczenia moje, że nie wiedziałem o tym przepisie, krzyczy: »Wam teraz tylko to w głowie, co się za granicą dzieje a o prze-

pisy prawa, nie dbacie«, i poleca mnie zamknąć do aresztu.

Zamknięto mnie samego w niedużej celi. Noc całą spać nie mogłem a przed oczy cisnęły mi się najokropniejsze obrazy Sybiru, rot aresztanckich. Rano przyszedł do mnie dozorca z drugim jakimś jegomościem i powiada z uśmiechem, że pan dyrektor kazał się spytać, czybym sobie nie życzył ogolić brody. Nosiłem wówczas hiszpankę. Odpowiedziałem, że bynajmniej o tem nie myślę, na co te dwa draby chwytają mnie i jeden poczyna mi mydlić brodę, a drugi odrazu goli. Byłem oburzony, ale bojąc się skaleczenia, siedziałem cicho. Ogoliwszy mnie do czysta, porwali mnie pod ręce i zawiedli do dyrektora, który z uprzejmym ukłonem wręczył mi paszport i zauważył ironicznie, że mi o wiele lepiej bez brody. Tak się to Moskale bali rewolucji, że nawet niewinne hiszpanki straszyły ich widmem buntu.

Przyjechawszy do Krakowa zastałem tam ogromny ruch. Wszyscy patrzą jak w tęczę ku Francji i oczekują stamtąd piorunu, co i nam jaśniejszą zapali przyszłość. Wszę-

dzie pełno odczytów i wykładów. W nowodworskim amfiteatrze rozpoczął Trentowski wykłady o uwłaszczeniu włościan i poprawie naszego społeczeństwa.

Więźniów wracających z Grajgóry i Kufsteinu witano entuzjastycznie, pełno emigrantów z Paryża przyczyniało się do coraz większego rozgorączkowania umysłów. W końcu zjawił się i generał Wysocki, o którym powszechnie mówiono, że będzie wodzem przyszłego, mającego się zorganizować powstania.

Pod dowództwem Adama Potockiego rozpoczęto formować gwardyę narodową. Zapisalem się i ja jako szeregowiec i brałem udział w mustrze na błoniach, którą zamiast karabinami robiliśmy żerdkami.

W tym czasie poznałem się z księciem Ludwikiem Sułkowskim, właścicielem Słupi pod Mysłowicami w zaborze pruskim. Sułkowski polubił mnie ogromnie od pierwszego wejrzenia, to też często przesiadywałem u niego w Słupi, biorąc udział w organizacji oddziału strzelców, dla wybuchnąć mającego powstania.

Mimo, że jako syn generała austriackiego i wychowany od dziecka w Wiedniu, nie umiał

Sułkowski ani słowa po polsku, mógł w gorliwej pracy dla dobra ojczyzny, zawstydzić niejednego rodowitego Polaka. Pomagał mu w tem i majątek i rozliczne stosunki tak w Wiedniu jak i u dworu pruskiego.

We dworze jego było formalne obozowisko — mnóstwo ludzi, koni, ciągle przyjeżdżało i odjeżdżało; pod pozorem polowań, ćwiczyliśmy się w robieniu bronią. Bawił wówczas w Słupi Władysław Jordan i Przedpełski — obaj z emigracyi paryskiej.

Za pośrednictwem Sułkowskiego przemycałiśmy broń z Wrocławia — a skład broni i amunicyi był w mojem mieszkaniu na Floryańskiej ulicy.

Na takich zajęciach upływał mi czas mego pobytu w Krakowie.

Pewnego dnia w czasie wykładu Trentowskiego w amfiteatrze nowodworskim, ktoś głośno oznajmił, że starosta krakowski baron Wilhelm Krieg kazał na granicy w Szczakowej zatrzymać wozy kolejowe, którymi emigranci z Francyi do Krakowa zdążali. Wieść ta wzburzyła wszystkich obecnych i uchwalono natychmiast wybrać komisję, która miała

Mars.

2



189776

iść do bar. Kriega i wyjednać zniesienie tego zakazu.

Na czele tej deputacji stanęli Adam Potocki i książę Lubomirski i otoczeni tłumami ludu, poszli wprost do mieszkania Kriega na ulicę św. Józefa. Tłum zebrany przed domem czekał dłużej godziny na odpowiedź starosty i tak zapełnił całą ulicę, że dwóch sztyldwachów stojących pod murem białych ze strachu nie było wstanie się poruszyć. Wreszcie któryś z członków komisji otworzył okno i oświadczył, że Krieg mimo wszelkiej perswazyi nie chce cofnąć swego rozkazu, twierdząc, że oddał już władzę w ręce komenderującego generała Castiglione. Równocześnie wojsko stanęło w rynku pod bronią, a gwardya narodowa stanęła również w szeregach, oczekując dalszego biegu wypadków.

Odpowiedź Kriega wzburzyła do reszty, rozżarty już i bez tego tłum, który mimo perswazyi i przekładań rozważniejszych osób, wywalił drzwi i wpadł na górę, tłukąc i niszcząc wszystko po drodze.

W jednym z salonów kucał w kącie p. Krieg, komisya półkolem go otoczyła i za-

kryła przed gwałtownymi atakami tłumu. Mimo to przez głowy członków deputacyi rzucano na niego patykami, błotem i t. p.

Nadludzkim wysiłkom deputatów udało się wreszcie tłum uspokoić, poczem na polecenie generała Wysockiego ująłem wraz z drugim gwardzistą drżące ze strachu p. Starostę pod rękę i otoczeni przez komisję powiedliśmy go do Krzysztoforów do lokalu komitetu narodowego.

Biedny Krieg, wysoki, szczupły Niemiec, trochę łysawy, ubrany w pludry białe i czarny tużurek, nie mógł prawie iść ze strachu, to też całą drogę niemal nieśliśmy go w powietrzu.

W lokalu komitetu przyszedł nieco do siebie i odrazu począł nam grozić, aż dopiero żyd, rabin z Kazimierza wytłomaczył mu, że się jego pogrożek nie boimy, i że raczej wdzięczność nam się od niego należy, niż groźba.

Wkrótce przybył wysłannik generała Castiglione, generał Moltke i żądał wydania uwięzionego Kriega, grożąc nam użyciem siły zbrojnej. Zebrany przed domem tłum, do-

magął się w dalszym ciągu, aby Krieg cofnął swój zakaz i ledwo wprost nadludzkiemu poświęceniu komitetu udało się Kriega doprowadzić szczęśliwie do komenderującego.

Po odejściu Kriega, tłum rozszedł się w spokoju i miasto przybrało zwykły wygląd, a jedynie długo w noc błyszczące światła mówiły, że tam, w zaciszach domowych, ludzie oczekują ze drżeniem serca, jutrzejszego poranka.

Następnego dnia od rana ruch między wojskiem, chorych przewożą na Wawel, warty z oddalonych posterunków ściągają, nikt jednak nie domyśla się przyczyny tego zamieszania, toteż gwardya narodowa otoczona jak zwykle tłumem ciekawych, poszła na błonia na mustrę.

Zaledwie stanęliśmy na błoniach, słyszymy, jeden za drugim trzy wystrzały armatnie. Podwójnym krokiem, uszykowani w szóstki wracamy do miasta i już na ulicy św. Anny zastajemy kilka barykad. Zbliżyliśmy się potem do rynku i stajemy przed Baranami, frontem do wojska austriackiego, które czeka z bronią, gotową do ataku.

Na trotoarze pod gankiem stał pan Adam Potocki ze szpadą w ręku, żona jego wyniosła mu szarfę białą, powiesił ją na szpadzie i podszedł do komenderującego. Powróciwszy, wydał rozkaz aby gwardya natychmiast zaczęła rozbierać barykady, tłum się usunął, a wtedy i wojsko się cofnie.

Zwróciliśmy się z powrotem ku św. Annie, nagle rozlega się salwa, a to austriacy z tyłu dali w nas ognia, szczęściem nikogo nie ranili. Widząc, że to nie przelewki, rzuciłem się z trzydziestu ludźmi mego plutonu wzdłuż muru ku ulicy Sławkowskiej, stamtąd przecznicą na Floryańską do mego mieszkania, tam uzbrowiliśmy się na prędcę i wyszli na ulicę. Zobaczyli nas Austriacy i od hotelu Lipińskiego plunęli na nas ogniem rotowym. Pod nogi upadł mi jeden akademik, ciężko ranny; mnie tylko czapkę zerwała kula z głowy.

Odpowiedzieliśmy im w tej chwili z dobrym skutkiem, bo natychmiast się cofnęli a my za nimi w pogoń. Schowali się Austriacy na Sienną a my wpadliśmy do kamienicy narożnej Barszczów i stamtąd z okien po-

częliśmy ich prażyć. Ciężko ranny upadł tu Niedziałkowski, emigrant.

Uciekli Austriacy i z Siennej ulicy, a my wydostaliśmy się na Mały Rynek i tam czekaliśmy, co dalej będzie. Tu dowiedziałem się od ludzi, że została zawarta kapitulacja a równocześnie rozległy się głosy bębnow, bębniących na odbój.

Widząc, że dalsza walka byłaby karygodną lekkomyślnością, udałem się do biura komitetu, gdzie odczytałem kapitulację następującej treści: »Wszyscy emigranci mają opuścić do 3 dni Kraków, komitet narodowy krakowski zostaje rozwiązany, gwardya rozbrojona, barykady zniszczone, a szkody rządowi nagrodzone. Emigranci nie mogący wskazać miejsca swego zamieszkania, mają być internowani, inni za paszportami austriackimi wyjadą do Wrocławia, skąd mogą się udać dalej«.

Widząc, że dłużej nie mam co robić w Krakowie, wybrałem się wraz z innymi emigrantami do Wrocławia, po drodze jednak wysiadłem w Mysłowicach i udałem się do Sułkowskiego do Słupi.

Sułkowski przyjął mnie wyrzutami, że nie dałem mu rychło znać o zamierzonych wydarzeniach w Krakowie, okazał mi jednak nie mniejszą życzliwość niż dawniej. — Pozostałem w Słupi czas dłuższy. Wspólnie z Sułkowskim odbywaliśmy ćwiczenia naszego oddziału, który coraz więcej się pomnażał, napływającą z Francji emigracją.

Odbywaliśmy częste wycieczki do Wrocławia, skąd przywoziliśmy broń i amunicję. Władze pruskie jakoś przez palce patrzyły na nasze zbrojenia się, tak więc rośliśmy coraz bardziej w siłę.

Z jednej z takich wycieczek do Wrocławia przywiózł Sułkowski ze sobą młodego człowieka, miłego i bardzo przystojnego, nazwiskiem Baron Hanzi. Zarekomendował nam barona jako naszego przyszłego towarzysza broni, toteż razem z nim odbywaliśmy nasze obroty.

Hanzi był w nadzwyczajnie czułym stosunku z Sułkowskim; prawie nie rozłączali się ze sobą. Zyskał też odrazu naszą sympatyę, manierami pełnymi delikatnego, prawie kobiecego wdzięku.

Pewnego wieczoru gdy w jednym pokoju grało nas kilku w bilard, rozmawiał Sułkowski w przyległym gabinecie z baronem. O czym mówili nie wiem, dochodziły nas tylko urywane gwałtowne słowa, za chwilę rozległ się odgłos strzału; wpadamy do pokoju — baron leży z pistoletem w ręku w kałuży krwi na podłodze. Sułkowski błądy jak trup stoi pod ścianą.

Jak się później okazało, pod imieniem barona Hanzi ukrywała się młoda Polka — panna Henryka Kapuścińska, gorąca patryotka, która pragnąc wziąć udział w walce o niepodległość ojczyzny, przywdziała na się strój męski. Jaki dramat rozegrał się między nią a Sułkowskim nie wiem i nigdy się nie dowiedziałem.

Po tem zajściu pobyt nasz dalszy w Słupi stał się niemożliwym, bo komisarz rządowy, który przyjechał zbadać powód wypadku, zdał swej przełożonej władzy raport o wrażeniu, jakie na nim zrobił dwór Sułkowskiego, toteż w krótkim czasie otrzymał Sułkowski polecenie od landrata z Bytomia, aby do 3 dni usunął ze Słupi wszystkich emigrantów pol-

skich, w przeciwnym razie wszyscy zostaną aresztowani.

Cóż było robić? Przeważna część naszych pojechała do Galicyi; Jordan i Przedpeński wrócili do Francyi, ja zaś udałem się z Sułkowskim do Bielska. Sułkowski wyjechał do Wiednia, a ja poznawszy się z pewnym obywatelem ziemskim z Wadowskiego, Duninem wybrałem się do niego, aby w spokojnem miejscu czekać dalszych wydarzeń.

W gościnnym domu państwa Duninów przebyłem kilka dni, a dowiedziawszy się, że we Lwowie formują gwardyę narodową, postanowiłem jakimkolwiek sposobem dostać się do Lwowa i wstąpić do gwardyi.

Dla uchronienia mnie od zaczepek władz austriackich wyjechałem tzw. »poczta obywatelską« to znaczy mój gospodarz odwiózł mnie do sąsiedniego dworu, stamtąd odesłano mnie do najbliższego obywatelskiego domu i tak dalej, aż do samego Lwowa, gdzie stanąłem po 6-tygodniowej miłej i wygodnej podróży.

Przyjechawszy do Lwowa zająłem do hotelu, poczem ogarnąwszy się nieco wysze-

dłem na miasto, które pierwszy raz w życiu oglądałem. Siadłem gdzieś na ławeczce przy ulicy, aż tu przychodzi do mnie jakiś jegomość i poznawszy widać we mnie obcego, zagaja ze mną rozmowę. Dowiedziałem się, że nazywa się Strzymicki, jest b. oficerem ułanów z 1831 r. i więźniem politycznym, który niedawno powrócił z Kufsteinu i pragnie również wstąpić do gwardyi.

Wspólność losów i pewna moja nieśmiałość wobec wymownego Strzymickiego doprowadziły do tego, że mieszkaliśmy razem, a nadto płaciłem za niego jedzenie i wszelkie wydatki.

Obliczywszy się po pewnym czasie z kasą zauważyłem, że trudno mi będzie samemu żyć, udałem się więc do komitetu emigracyjnego, z prośbą o wyszukanie mi kwatery, a nadto wstąpiłem do gwardyi akademickiej do kompanii trzeciej, zostającej pod dowództwem kapitana Millera.

Za pośrednictwem aptekarza Tomanka, który gorliwie losem emigrantów się zajmował, dostałem kwatere w domu pp. Henrykostwa Komorowskich pod »kręconymi słu-

pamię, przy ulicy Halickiej. Oprócz mnie było tam czterech studentów kijowskiego uniwersytetu, także gwardzistów, Domański, Dziukowski, Jabłonowski i jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam. Za parę dni przyszedł jeszcze i mój pierwszy znajomy Strzymicki, ale smutno nasza znajomość się skończyła, bo Strzymicki wyciągnawszy odemnie kilkadziesiąt złr. a nie mogąc więcej uzyskać, zrobił na mnie doniesienie do komitetu emigracyjnego, jakoby był szpiegiem rosyjskim, za co po długich korowodach został z gwardyi wydalonym.

Jak się później dowiedziałem, było to indywiduum, jakich wówczas niestety dużo kręciło się po naszym kraju. Siedział w Kufsteinie, ale za oszustwo, jakiego dopuścił się na pewnej wdowie, przedstawiając się fałszywie za ofiarę polityczną.

Po tem zajściu, które na chwilę zamąciło moją radość z powodu noszenia polskiego munduru, nastąpiła chwila spokoju. W domu pp. Komorowskich czułem się jak w rodzinie. Rano chodziłem na mustę na plac Franciszkański, popołudniu uczyłem się regula-

minu służbowego, wieczorem grywałem z mem gospodarstwem w preferansa.

Pewnego razu byłem na wielkim balu w sali teatralnej. Bal ten urządzał komitet emigracyjny, a miał na celu nawiązanie stosunków między demokracją i arystokracją. Ciekawy był widok, jak wśród strojnych toalet damskich i zgrabnych mundurów gwardyjskich kręcili się chłopci ruscy w baranich czapach i długich koszulach.

Smutno się jednak nasz bal skończył, bo rusini popili się i takie zaczęli wyprawiać awantury, że wszystkie damy musiały czemprędzej uciekać.

Miło i przyjemnie służywałem mi czas we Lwowie, poczyniała mnie jednak nużyć bezczynność, to też z utęsknieniem wyglądałem chwili, w której z bronią w ręku staniemy do walki za wolność.

W tym czasie zostałem zamianowany podoficerem legionu akademickiego.

Wkrótce nadeszły wypadki, które plany nasze zupełnie pokrzyżowały.

Jakoś w końcu października tego roku Rada narodowa centralna ogłosiła plakatem,

że chłopci w obwodzie samborskim objawiają nieprzychylnie zamiary względem gwardyi narodowej, że dwóch towarzyszy jazdy narodowej, Kajetana Gużkowskiego pobili i zrabowali, że napadają dwory obywatelskie. Na tę wiadomość postanowił oddział akademicki gwardyi narodowej wyruszyć na pomoc zagrożonemu obywatelstwu w Samborskie.

W dzień przed zamierzonym wyruszeniem zdarzyło się, że na strzelnicy 4 kanonierów, wszczęło kłótnię z dwoma gwardzistami narodowymi. Kłótnia ta zakończyła się śmiercią obu gwardzistów. Na awanturę tę nadeszły równocześnie patrol wojskowy i patrol gwardyi narodowej. Wojsko dało ognia na gwardyę narodową i to dało hasło do ogólnego ataku na gwardyę i na ludność, która stanęła po stronie napadniętych gwardzistów. Wszczęła się zacięta walka, w której jak wiadomo gwardya narodowa uległa przemocy, a generał Hammerstein zbombardował miasto.

Na jednej z barykad, wzniesionych obok kościoła Jezuitów upadłem ranny i tylko poświęceniu pocziwego starego wiarusa Wojciecha, lokaja od pp. Komorowskich, który

z dubeltówką wyszedł sobie na niemców, zawdzięczam życie. Z trudnością odprowadził mnie do pp. Krasickich, gdzie nieco przyszedłem do siebie.

Tu dowiedziałem się o zaszłych wypadkach i o warunkach jakie gen. Hammerstein postawił miastu. Gwardya miała być rozwiązana a wszyscy emigranci pod eskortą odstawieni do granicy francuskiej. Na kilkudziesięciu wozach po czterech razem pod strażą kilkudziesięciu żołnierzy wyjechaliśmy w dwa dni potem ze Lwowa. Postoje miewaliśmy po większych miastach, gdzie nas zwykle lokowano w koszarach wojskowych. Po pięciu dniach podróży przybyliśmy do Krakowa, gdzie nas wszystkich ulokowano w klasztorze na Skałce.

Pomieszczenie mieliśmy okropne. Do tego skutkiem bezczynności i braku odpowiednich rozrywek rozpoczęły się swary i kłótnie, tak, że musieliśmy ustanowić z pośród siebie sąd, który miał prawo wydawania wyroków bez apelacji.

Prezesem tego Sądu był Jakubowski z Warszawy. Zaraz następnego dnia skazanych zo-

stało dwóch nałogowych graczy na 15 i 20 plag. Wyrok wykonaliśmy odrazu i zapanował zupełny spokój.

Pewnego dnia przyszedł komisarz policyi i oświadczył nam, że następnego dnia, wyruszamy w dalszą drogę ku Francji.

W nocy wyjechaliśmy pod eskortą wojska do Wadowic, stamtąd do Oświęcima; tu nas wpakowali na kolej i pojechaliśmy, ale nie do Francji, lecz do jakiegoś miasta, którego nazwiska nie pamiętam, a stąd jadąc koźmi dzień jeden i drugi stanęliśmy w fortecy Theresienstadt.

W Theresienstadt zastaliśmy urządzone na nasze przybycie trzy wygodne sale. Skoro tylko roztasowaliśmy się, przybył kapitan, przeznaczony na naszego bezpośredniego zwierzchnika, przedstawił się nam i nad wyraz uprzejmie nas powitał.

Następnego dnia postanowiliśmy przedstawić się komendantowi twierdzy i prosić go o wzgląd na nasze położenie. Wysłaliśmy w tym celu deputację, w skład której wchodził, jeden ksiądz Dominikanin, razem z nami wywieziony, Jakubowski b. rektor szkoły warszawskiej, Dąbrowa pułkownik, Górski puł-

kownik, Mazurkiewicz szwagier Mierosławskiego, a z młodszych Stanisław Chojecki prezes b. komitetu emigracyjnego we Lwowie, ja i Piasecki członek gwardyi akademickiej.

Generał przyjął nas bardzo uprzejmie i rzeczywiście porobił nam wszelkie możliwe ułatwienia. Mogliśmy bez dozoru, jedynie związani słowem honoru, wychodzić do miasta; jedzenie mieliśmy niezłe, żołnierze uprzejmi; nadto na drobne wydatki fasowaliśmy cwan-cygiera dziennie żołdu. Czemu nas generał bardzo za serce ujął, to swą względnością wobec naszego kolegi Karpińskiego.

Karpiński emigrant, ożeniwszy się we Francyi, przyjechał wraz z żoną swoją do Lwowa i wraz z żoną, która go nie chciała opuścić, całą drogę odbywał. Na ostatnim postoju przed Theresienstadtem urodził im się synek. Otóż komendant nie tylko, że zaraz przysłał lekarza i medykamentu, ale prócz tego kazał im wydawać pożywienie z oficerskiej menaży, a prócz tego polecił wypłacać żołd na 3 osoby.

Z twierdzy robiliśmy częste wycieczki w okolicę do Litomierzyc, przyjmowani owa-cyjnie przez poczciwych Czechów.

Po kilku tygodniach przybył nowy transport naszych. Mieli oni być odstawieni z Josephstadt, gdzie byli internowani do granicy saskiej, ale że Sasi nie chcieli ich do siebie wpuścić, zawrócono ich do nas.

Była nas zatem większa gromada, ale doła nasza pogorszyła się, bo kilku uciekło i wzięli nas pod ściślejszy dozór.

A rzecz miała się tak. Pewnego razu kilku naszych wyszło z kapralem i żołnierzem na spacer. Po drodze wstąpili do restauracyi, spobili dozorców, a sami uciekli. Żołnierze obudzili się pod ławą w restauracyi i myśląc, że nasi poszli sami do twierdzy, wrócili do domu i położyli się spać, ktoś jednak zauważył ucieczkę naszych i doniósł o tem pułkownikowi, który natychmiast wpadł do naszej sali. Budzi kaprala, ale że ten był pijany i nie można go się było dobudzić, uderza go trzcina. Na to kapral rzuca się na ziemię i szczekając psim głosem woła »łapaj«, »trzymaj« i pędzi na czworakach ku drzwiom. Żołnierz to samo. Pułkownik ogłupiał, ale obecny feldwebel chwyta kaprala za ramiona i stawia go siłą przed pułkownikiem, a ten, poznawszy

go, ze strachu zemdłał. Muszę wytłomaczyć powód tego szczekania. Oto z nudów bawiliśmy się czasem w »polowanie«. Żołnierze byli psami, a my zwierzyną i każdy miał obowiązek, odzywać się głosem tego zwierzęcia, które reprezentował. Polowania te odbywały się zwykle w nocy, a sygnałem do ich rozpoczęcia były uderzenia trzcina, które »łowczy« przedewszystkiem »psom« aplikował. — Biedny kapral zbudzony z twardego snu uderzeniem trzcina myślał, że to znak do rozpoczęcia łowów i natychmiast zaczął wykonywać swe obowiązki gończego, ale upolował sobie parę dni aresztu, który, nawiasem mówiąc, wedle możliwości staraliśmy się mu osłodzić.

Po kilkutygodniowym pobycie w Theresienstadzie wysłano nas koleją do Wiednia, skąd zaraz następnego dnia pod eskortą furami do Tryestu, kolej żelazna bowiem nie była jeszcze ukończona.

Po niezbyt długiej podróży przybyliśmy do Hradca (Graz), gdzie nas wspaniale przyjęto; miasto udekorowane, z gmachów powiewały chorągwie, panny rzucały na nas kwiaty;

jedzenia, picia, tytoniu dostarczono nam mnóstwo. Oficer i komisarz policyi, prowadzący nasz konwój nie chcieli zezwolić na taką uroczystość, ale wreszcie wobec nalegań najważniejszych obywateli Hradeckich, musieli ustąpić. Ogromnie byliśmy ujęci życzliwością pocziwych Hradczan.

Rano wczas wyruszyliśmy dalej, ale skoro nam droga wypadła przez jakie większe miasto, przyspieszaliśmy jazdy, bo nasi przewodnicy obawiali się powtórzenia owacyi, jaka nas spotkała w Hradcu.

I tak dalej i dalej posuwaliśmy się ku Tryjestowi. Szliśmy teraz piechotą, bo o wozy w górach coraz było trudniej, a tylko pani Karpińska z synkiem jechała na wozie.

Konwojowali nas teraz Kroaci, parę razy dochodziło między nami do awantur i jedynie rozważnemu i spokojnemu zachowaniu się kapitana, który żołnierzy powściągał, zawdzięczać należało, że nie doszło do rozlewu krwi.

Kapral idący naprzód z kilku żołnierzami, przygotowywał zawsze dla nas kwatery. Nie zawsze tam była wytworna, ale czegoż młodość nie zniesie.

Minąwszy góry jechaliśmy dalej furami i w niedługim czasie stanęliśmy w Monfalcone nad brzegiem morza.

Tu umieszczono nas w koszarach, poddano dokładnym oględzinom lekarskim, potem zabrano nam wszelką broń, aż do scyzoryka, noża i widelca i po paru dniach oświadczone, że na drugi dzień wsiądziemy już na okręt. Niedaleko od naszego mieszkania kołysał się na falach duży statek. Niejednemu, gdy go zobaczył tęskne myśli przychodziły do głowy, ale nadzieja, że wkrótce staniemy we Francji, na ziemi wolności, rozchmurzała nasz smutek, to też z radością wystawiliśmy kapitanowi i komisarzowi policyi, którzy nas dostawili do morza jak najpochlebniejsze świadectwa, co do ich obejścia się z nami, i jak najlepszej myśli udaliśmy się na przeznaczony dla nas statek.

Ambarkowanie odbyło się bez przypadku. Jedyne biedna pani Karpińska osłabiona chorobą i długą podróżą, zesunęła się z drabinki sznurowej i wpadła do morza, ale któryś z majtków rzucił się natychmiast za nią do wody i wyciągnął ją bez szwanku.

Wyjazd z Tryestu. Niedogodności podróży.
Spisek na okręcie. Przyjazd do Tulonu.
Pobyt w Tulonie. Jazda do Algeru i przy-
bycie do Afryki.

Kiedyśmy się już wszyscy zebrali na okręcie, oprowadził nas zastępca kapitana po całym statku i każdemu z nas wskazał miejsce dla niego przeznaczone. Starsza emigracja i oficerowie poszli na pierwsze piętro, młodszy zostali na dole okrętu. Rozlokowaliśmy się każdy jak mógł i czekamy na odjazd. Niedługo nadszedł sam kapitan, przedstawiliśmy mu się gremialnie, przyjął nas bardzo uprzejmie a na zapytanie Jakubowskiego kiedy odjedziemy, odrzekł, że dopiero za trzy lub cztery dni. Nieprzyjemnie nam się zrobiło, ale cóż robić, czekać musimy.

Niedługo podano nam obiad, obiad był niezły, o ile się nie widziało kucharza, starego murzyna, ślepego na jedno oko, łeb nigdy nie uczesany, z ust mu się ciągle wylewał tytoń, który żuł.

Dzień nam zeszedł na rozmowie i oglądaniu nieznanego nam dotąd statku. Rano wczas powstawaliśmy i chodzimy po pokładzie, ile że w śmierdzącym i dusznym okręcie trudno wytrzymać. Czekamy dzień, czekamy drugi i trzeci, noc była zła, morze

burzliwe, już tam niejedyn i choroby dostał, wszystko smutne i zgnębione.

Czwartego dnia rano na okręcie ruch, majtkowie ciągną kotwicę maszyną ręczną, a śpiewem wybijają takt; przypatrywaliśmy się temu, a i nasi żołnierze przyczepiali się gdzie który mógł i ciągnęli wspólnie.

Kotwica sama jest to straszny ciężar, wagi kilkadziesiąt cetnarów, łańcuch nadzwyczaj długi, a tak gruby, że ogniwo toczone z okrągłego żelaza przewyższa objętością rękę dorosłego mężczyzny. Jeden majtek najwyżej trzy ogniwa podniesie.

Kiedy podziwiamy wszystko, kotwica pokazuje się w wodzie już po czterech godzinach pracy. Jeszcze jedna może godzina upłynęła już była przyczepiona na jednym boku piersi okrętu i zdobiła go tak jak krzyż walczącego żołnierza.

Wreszcie rozległ się świst kapitana, rozpięto żagle, okręt przybrał niebawem postać rozdętego indora i powoli poruszać się zaczął. Ledwieśmy ruszyli z miejsca zjawił się obok nas parowy okręt wojenny i skierowanymi

na nas paszczami swych dział, przypominał nam, że nie jak wolni jedziemy.

* * *

Płyniemy, dzień jeden, drugi, trzeci, raz wolniej, to znów prędej stosownie do wiatru, znosimy wszystko cierpliwie, żeby nie dać powodu do kłótni, lub sprzeczeki, żywią nas strasznie, suchary stare, aż spleśniałe i tak twarde, że przed użyciem trzeba je młotami żelaznymi tłuc, mięso solone (pekeflajsz) i ryba suszona stokfisz zwana, aż zielona ze starości, toczą ją robaki, smalec zepsuty, śmierdzący i gorzki, do tego dodajmy starego flejtucha kucharza, a mamy obraz jakie były potrawy.

Szczęście, że wielu z nas posiadało trochę pieniędzy i kupowali u kucharza bardzo drogi ser, sardynki i t. p. bo inaczej trudno by było wytrzymać.

Płyniemy tak już cztery tygodnie, a nic nie wiemy, kiedy i gdzie się z tej strasznej niewoli wydobędziemy. Już wielu z nas zachorowało. Na dole między żołnierzami zaczęło się robactwo i tak się rozszerzyło, że

wprost niepodobna było oczyścić się z niego. Niejeden, jak wyszedł na pokład, to wyglądał gorzej trupa, tak był wymizerowany. Wszystko jednak znosimy cierpliwie, a płyniemy dalej i dalej.

Opłynęliśmy Sycylię, przedarli się przez wiry Messyny, jednego poranka spostrzegliśmy Etnę, ogniem wybuchającą. Śliczny to był widok. Później pokazały się nam góry Stromboli, widoki zachwycające, ale nie nas w takiej strasznej niewoli.

Nic nas zabawić, ani rozweselić nie może, bo myśl, jakby z tego straszego położenia się wydobyć, opanowała wszystkich.

Do tego jeszcze dowiadujemy się pokryjomu od majtków, że płyniemy nie do Francji jak nam powiedziano, lecz do Ameryki.

* * *

Kilka dni jesteśmy w pobliżu brzegów francuskich, konwojującej nas fregaty nie widać już dawno, postanowiliśmy więc w jakikolwiek sposób się wyswobodzić.

Jeden z nas, Chojecki zebrał kilkunastu

na dole okrętu i rozpoczął do nas przemawiać:

— Niemcy — powiada — wożą nas jak baranów, zdaje się, że do Ameryki, ale nam nie do Ameryki, a do Francji przyobiecano, otóż ja proponuję, wybierzmy z pośród siebie kilkunastu, ci niech wybiorą sześciu, którzy zaproponują starszym na piętrze, aby wybrali z siebie także sześciu, razem obradzimy co potrzeba, wy nas poprzecie.

— Dobrze, zgadzamy się, odpowiedzieliśmy chórem, poczem wybraliśmy pięciu do pomocy Chojeckiemu. Po porozumieniu się ze starszymi wybrali i oni swoich sześciu delegatów a prezesem ustanowili Jakubowskiego, sekretarzem zaś Dąbrowę.

Zaimprovizowany ten sejm odrazu wzięt się do narady, a po jej ukończeniu polecono nam wczas rano jawić się na pokładzie.

Wczesnym rankiem stawiliśmy się wszyscy, a Jakubowski począł kapitanowi tłumaczyć, że nie chcemy jechać do Ameryki, lecz żądamy, żeby nas zawiózł do Marsylii. Kapitan początkowo próbował się opierać, lecz nas było stukilkudziesięciu, a jego majtków

kilkunastu, ustąpił więc i obiecał nas zawieść do Marsylii, prosił tylko, aby mu wystawić świadectwo, że nie dobrowolnie, lecz pod naszą presją płynie do Francji. Napisał mi mu żądane świadectwo i wszyscyśmy je podpisali.

Poczem porozstawialiśmy po całym okręcie warty, aby kapitan nie dał jakich sygnałów przejeżdżającym statkom.

W trzy dni byliśmy już w Marsylii. Jakubowski i Dąbrowa wystylizowali petycję do Rządu francuskiego i do gubernatora Marsylii o pozwolenie wylądowania we Francji.

Petycję tę wręczyła gubernatorowi deputacya, na której czele stał pułkownik Dąbrowa, a między którą i ja byłem. Gubernator przyjął nas uprzejmie, obiecał naszą prośbę jak najrychlej przedstawić prezydentowi Rzeczypospolitej, a tymczasem kazał nam udać się na okręt i tam czekać na odpowiedź.

Rzeczywiście za kilka godzin nadjechał jakiś wyższy oficer francuski i oświadczył, że wolą gubernatora jest, byśmy jechali do Tulonu i tam czekali na decyzję Prezydenta.

Ogarnęła nas rozpacz. Wielu chciało rzucić się w morze, lecz Chojecki wpływem swoim i wymową zrobił to, że wszyscy zgodzili się na odjazd do Tulonu.

Niedługo przyjechał okręt francuski, przyczepił do naszego dwie liny, pociągnął i za kilka godzin przyholował nas do Tulonu.

Rano w Tulonie zjawił się u nas komendant portu i oświadczył, że rezolucji rządu mamy czekać na okręcie i niewolno nam pokładu ani na chwilę opuścić.

Osiem dni czekaliśmy w Tulonie, aż nadeszła rezolucya o losie naszym:

»Francya daje nam przytułek w Afryce, w Algeryi. Jeżeli przyjmujemy, to okręt francuski odprowadzi nas do Algeru, we Francji nie wolno nam wylądować, w przeciwnym razie statek austriacki odwiezie nas do Ameryki«.

Cóż robić? przystaliśmy na Algier, zaw sze bliżej ojczyzny. Okręt francuski się zjawił, wypłynęliśmy na morze, w nocy burza była, ale gdy rano stanęliśmy w Algierze, morze uspokoiło się zupełnie.

Kapitan okrętu francuskiego z deputacyą

z nas szczęściu złożoną, udał się do gubernatora, był nim podówczas Pelissier. Ten przyjął nas bardzo niezyczliwie, chciał żebyśmy jechali do Ameryki. Wróciliśmy przestraszeni na okręt.

* * *

Niedługo przyszedł do nas Mękalski, obywatel miasta Algieru, polak, emigrant z 31-go roku, przywiózł ze sobą beczkę wina, chleba, kiełbas i innych prowiantów. Opowiedzieliśmy mu jak nas przyjął gubernator, Mękalski pocieszył nas jednak, że gubernator przeciw rozkazom z Paryża nie może działać. Trzy dni staliśmy w porcie algierskim, przez ten czas odwiedzało nas mnóstwo Francuzów, damy znosiły nam żywność, prezenta, w końcu wypuszczono nas na ląd i pod strażą francuską osadzono nas na kwartannie w koszarach straży morskiej. A stało się to dlatego, ponieważ rząd austriacki wytoczył nam proces o gwałt na osobie kapitana austriackiego okrętu trójmasztowego.

Poczcziwy Mękalski wyszukał nam adwokata, który energicznie nas bronił i wobec

sądu starał się udowodnić, że to kapitan i sam rząd austriacki przez złe pożywienie, pomieszanie i obchodzenie się z nami, zmusili nas do buntu.

Sąd wydelegował komisję sanitarną, która nie mogła się nadziwić, jak w połowie 19-go wieku można ludzi karmić takimi potrawami i trzymać ich w takich ubikacjach jak nas trzymano. Kazała ta komisja kapitanowi wszystkie jego żywności powrzucać do morza, żeby przypadkiem innych ludzi nimi nie karmił.

Na tej podstawie po gorącej obronie adwokata sąd nas uznał za niewinnych. Przyszła i do nas komisja sanitarna a zrewidowawszy stan naszego zdrowia, oświadczyła, że jesteśmy zdrowi i możemy na ląd iść szukać stancyi.

Zjawili się też i oficerowie z legionu cudzoziemskiego, ci nam proponowali zapisać się do wojska, ale tylko kilku z nas tę propozycję przyjęło.

* * *

W kilka dni później rozeszli się wszyscy,

co mieli jeszcze pieniądze, zostali najbiedniejsi, prawie sama młodzież ze szkół albo uniwersytetu i ja między nimi. Nie bronili nam Francuzi pozostać, ale przynaglali nas do szukania jakiejś roboty. Staraliśmy się też o nią, ale trudno to szło. Rzemiosła żadnego nikt z nas nie umiał a innej roboty nie było. I tak nieraz już czarne myśli nas nachodziły, a i tęsknota, choć jej staraliśmy się nie dopuścić do siebie, zaczęła nas gryźć.

Kiedy tak jednego dnia rozmyślam, przychodzi do nas Mękałski, który nie przestał się nami opiekować i powiada nam, że jeden Francuz, który ma w przedsiębiorstwie budowę wodociągów, potrzebuje robotników do kopania rowów. Zgodziliśmy się bez wahania na tę propozycję i nie pytając się nawet o zapłatę, obiecaliśmy, wszyscy dziesięciu, następnego dnia o czwartej rano, stanąć do pracy.

Praca przy murarce. Pojedynek z francuskim oficerem. Podróż do Marengo. Niepowodzenie w Marengo. Febra. Pobyt w Blidzie i Medei. W gościnie u Arabów. Posada dróżnika.

Wschodzące słońce następnego poranka zastało nas już przy robocie. Z łopatami i czaganami w rękach braliśmy głęboką na kilka łokci fosę. Roboty naszej dozorował Francuz, którego jedyne słowa, jakie do nas mówił było naglenie: »*depechez vous monsieurs*« i to bez względu na szybkość naszej roboty. Robiliśmy tak od 4-tej rano do 10-tej; o tym czasie zawołano nas na śniadanie, a że kopany rów szedł przez ogrody pięknych wil podmiejskich usiedliśmy w cieniu rozłożystej Carubii (drzewo to daje owoc »chleb św. Jana«) i zabraliśmy się do posiłku, który się składał z chleba, słoniny, soli i odrobiny wina. O trzeciej zbudzono nas do roboty. Dziewiąta wieczór poszliśmy do domu spać.

Na drugi dzień prowadziliśmy w dalszym ciągu naszą robotę, ale że było bardzo gorąco a wybrana i wyrzucana przez nas ziemia napowrót na nas spadała, wyglądaliśmy w krótkim czasie jak w błocie skąpani, bo ziemia, mieszając się ze spływającym z nas potem, powlokła nas jedną warstwą brudu. Już tam niejeden z naszych do ciężkiej roboty niezwyčajny sarkać począł, ale wykapa-

liśmy się w morzu i jakoś się dalej ciągnęło. Na drugi dzień jednak trochę nas ubyło i tak powoli, powoli topniała nasza garstka, aż w końcu tygodnia zostałem tylko ja, a drugi Andruszkiewicz. W końcu tego tygodnia dostałem się był do murarskiej roboty. Lepiej mi się to zajęcie podobało, a i lepiej płacili, bo gdy zwyczajny robotnik brał 2 franki, to murarz dostawał 5 franków dziennie. Poduczyłem się trochę murarki, choć mi to z początku trudno szło, ale przedsiębiorca, poczciwy człek nie brał mej nieumiejętności za złe, a jeszcze polecił mnie opiece majstra. Brałem już 4 franki dziennie i tak pracowałem przez pięć tygodni. Potem przez kilka tygodni pracowałem przy budowie jakiejś oberży w mieście, a jak się i to skończyło zostałem bez zajęcia. Przychodzę raz smutny do restauracyi jednego Polaka, gdzieśmy się zwykle schodzili, mówią mi, że jakiś Niemiec z pod gór szuka murarzy, choćby nie takich pierwszych, do roboty. Zgodziłem murzyna przewodnika, a że to właśnie była niedziela, więc na drugi dzień raniutko wybrałem się z Andruszkiewiczem w drogę. Na 10-tą rano byliśmy na

miejsku. Dali mi robotę murarską. Niemiec dosyć był z niej kontent, ale Andruszkiewicz, który nigdy przy murarce nie robił, oddalił. Robiłem tam dwa miesiące i budynek stanął gotów.

* * *

Wróciłem potem do Algieru, zaoszczędziwszy sobie około stu franków. Polaków już tam nie zastałem wielu, bo główny sztab i żołnierze wymaszerowali do Duery, miasta o pięć mil od Algieru odległego, gdzie był oddział dyrekcyi budowy dróg i mostów, a naczelnym inżynierem Wszelaki, emigrant z roku 1831, dobry Polak. On najwięcej emigracyę naszą podtrzymywał, to też kochali go wszyscy jak ojca. W mieście zostali tylko ci, co mieli zatrudnienie jakieś i chorzy a i tych między nami nie brakowało. Na noc zostałem przez kolegów zaproszony do wspólnej kwatery. Było ich szczęście, dobrzy koledzy i przyjaciele, stancję mieli dużą, w niej stół na chwiejących się nogach i kilka krzesel stanowiło całe umeblowanie. W kącie przy kuchence kilka lichych garczków reprezentowało

całe kuchenne urządzenie. Dwóch z nich tylko t. j. dwaj bracia Piaseccy mieli sienniki, reszta spała na podłodze a pod głowę kładli trzewiki. Biedacy ci nie mogli dostać żadnego zajęcia i żyli ze składek patriotycznych Francuzów. Od komitetu po 5 sous dziennie im wypłacano. Nędzne to było życie — na śniadanie maślanka i kawałek arabskiego placka, na obiad »fryko« t. j. mieszanina z odrobiny mięsa, cebuli, pieprzu, smalcu i soli, a jak dobrze to i ryżu: to starczyło już na cały dzień przy placku arabskim. Nakupiłem im rozmaitych prowiantów. Chciałem też spróbować tej ich zachwalanej maślanki i poszedłem z garnkiem kupić jej u Araba. Dziwnie oni tę maślankę i wogóle płyny przechowują, a mianowicie w skórach z kóz, bawołów i wielbłądów. Robią to w ten sposób, że skórę ze zwierzęcia sztucznie zdejmują, zawiązują nogi powyżej kolan, i szyję, otworem z drugiego końca zwierzęcia nalewają płyn i tym samym końcem znów wylewają.

W mieście spotkałem się z moim znajomym murarzem, Francuzem, z którym pracowaliśmy razem przy wodociągach. Wybierał

się on do osady Marengo, którą rząd francuski dla kolonistów swym kosztem budował. Przedsiębiorcą tych robót był niejaki Kaczanowski, bogaty człowiek, Polak, emigrant z 31-go roku. Zdecydowałem się z nim pójść na tę robotę, a że to daleko, bo 30 mil od Algieru pod samymi górami Atlasu, trzeba było wyszukać przewodnika. Na drugi dzień rano wyruszyliśmy w drogę. Zamierzali nas kawałek odprowadzić nasi koledzy, ale niestety niedaleko mnie odprowadzili tylko do szpitala na ulicę Babaron zwaną. A rzecz się miała tak. Po drodze, żeby się godnie pożegnać, wstąpiliśmy do kawiarni. Tam zastałem znajomego mi oficera z francuskiej inżynierii wojskowej, siedzącego z nieznanym mi oficerem kanonierskim. Ten kanonierski oficer obraził naszą polską narodowość. Doszło do awantury między nami i pojedykowałem się z nim. Postrzelił mnie w brzuch. Przyznać trzeba, że się potem Francuzi poczcwiście mną zajęli, sprowadzili mi lekarza Polaka Ekielta. Ten był Dyrektorem szpitala i tam mnie ulokował. Bardzo mi było dobrze w szpitalu, Ekielt i siostry miłosierdzia starali mi się

we wszystkim dogodzić. Oficerowie zrobili między sobą składkę i chcieli mi wręczyć większą sumę na kurację, wzruszyła mnie ich poczciwość, ale rzecz prosta — ofiary nie przyjąłem. Cztery tygodnie wyleżałem w szpitalu, a potem wróciłem do kwatery mych kolegów; com sobie zaoszczędził, to przeszło, trzeba się było za robotą oglądać. Wybrałem się więc do Marengo.

* * *

Trzech kolegów, a to dwóch Piaseckich i Pniewski poszło ze mną do Duery, miejscowości o 5 mil od Algieru odległej, a leżącej po drodze do Marengo, aby tam swoich odwiedzić i o robotę jaką się postarać.

Przyszliśmy wieczorem do Duery, i tam zastaliśmy dużo naszych kolegów i znajomych, między którymi byli Jakubowski i Górski, pułkownik, dawni moi znajomi. Było dużo i ze starej emigracji, czekali tylko okazji jak do Francji się przemycić, co już niejednemu się udało. Poznałem się z inżynierem Wszelakim, opowiadał mi o Kaczanowskim,

którego znał jeszcze w r. 1831, jako kapitana, ale nie bardzo pochlebnie o nim się wyrażał. Był tam wtedy na lustracji Inspektor dróg i mostów na całą Algeryę pan Derangemend — bardzo dla Polaków życzliwy i przychylny.

Na drugi dzień pożegnałem się z kolegami i z Wszelakim ruszyłem w drogę. Pod wieczór przyszedłem do Bufaryku, miasteczka (w miasteczku tem w r. 1830 wyrznięli Arabi czyli Kabyle załogę wojskową i wszystkich mieszkańców Francuzów) znalazłem tam sklep utrzymywany przez Polaka, emigranta z 31-go roku. Poczciwy człowiek objaśnił mnie o dalszej drodze.

Z Bufaryku dojechałem dyliżansem do Blidy, tam dowiedziałem się znów o Polaku. Był to Ujazdowski, poczciwy, stary oficer ułanów trzydziestego roku. Był u Francuza pisarzem, trzymał konie i miał różne dostawy. Przyjął mnie serdecznie po polsku, a że właśnie jakieś towary do Marengo odsyłał, pozwolił mi się z okazją zabrać. O trzeciej rano wybrałem się w drogę. Konie, a zwłaszcza, muł w szydło na przodku

zaprzężony, rażno ruszyły, tak, że na drugi dzień popołudniu stanęliśmy w Marengo.

* * *

Zimno mnie przyjął Kaczanowski. Dał mi robotę przy murowaniu fundamentów razem z kilku murarzami hiszpańskimi. Po kilku dniach roboty zachorowałem na febrę i musiałem pracę opuścić. Lichy to był człowiek ten Kaczanowski — jeszcze chciał mnie pokrzywdzić przy wypłacie, alem się nie dał. Zawlokłem się do szpitala do Blidy. Zaopiekował się tam mną stary, poczciwy Ujazdowski. Przez cały trzytygodniowy mój pobyt w szpitalu było mi bardzo dobrze. Po wyzdrowieniu dowiedziałem się, że w okolicy, w miejscowości Szyfa zwanej, pracuje przy ziemnych robotach kilku Polaków. Wiedząc, że im się z pewnością nie przelewa, zakupiłem trochę prowiantów i wybrałem się do nich, a i sam miałem zamiar przy jakiej robocie tam się przywiesić. Zastałem tam kilku kolegów. Był Gwalbert Lipski, Adam Lipski, Plinkiewicz i inni. Robotę prowadził Godlewski Ludwik, emigrant, oficer artylerii

z 31-go roku. — Mieszkał w Blidzie a tylko dojeżdżał. Dostałem tam zajęcie przy budowie baraku dla dróżnika, którym był Saift, Warszawiak z r. 31. Skończyłem ten barak, wybudowałem jeszcze mały domek dla dozorczy drogowego, a po wypłacie, nie mając już zajęcia w Szyfie, poszedłem do Blidy szukać pracy. Miło mi tam czas zeszedł. Mieszkało w Blidzie kilku Polaków — stary »wujaszek« Ujazdowski, o którym już wspominałem i dwóch braci Godlewskich, oficerów polskich, Antoni i Ludwik. Antoni był żonaty z francuzką. Był jeszcze trzeci Juliusz, ale ten mieszkał gdzieindziej. Napatrzyłem się w Blidzie różnych tamecznych dziwowisk, szczególniej interesowały mnie figle Arabów z rozmaitymi jadowitymi wężami, skorpionami i żmijami. Przeczytałem też kilka oddawna niewidzianych dzienników, dowiedziałem się z nich o smutnych wypadkach, jakie zaszły na Węgrzech. Bolesnie to oddziałyło na mnie. Jakże mi się tęskno zrobiło za moją ojczyzną, a tu zdawało się, że chwila powrotu nigdy nie nadejdzie.

W tym czasie dowiedziałem się, że w Me-

dei niedaleko od Blidy, choć trzeba iść bardzo złą i górzystą drogą, mieszka Inżynier Szymański, a że miałem kuzyna tego nazwiska na emigracyi, byłem pewny, że to on właśnie. Postanowiłem więc udać się do niego z prośbą o pomoc.

Droga do Medei nie była bardzo bezpieczna, bo w górach kręcili się jeszcze Kabyle, którzy czasem napadali na podróżnych, zwłaszcza zaś na Europejczyków. Zabrałem się więc z konwojem wojskowym, który raz na tydzień drogę tę odbywał.

Przyjechawszy do Medei przekonałem się, że Szymański jest to bardzo poczciwy człowiek, ale nawet nie mój znajomy, a cóż dopiero krewny. O robotę w Medei trudniej jeszcze niż w Blidzie. Trzeba więc było wracać, a że konwój wojskowy już odjechał, musiałem za radą Szymańskiego, wziąć przewodnika murzyna, który mnie miał bliższemi drogami przeprowadzić. Dał mi nadto Szymański list polecający do Francuza Chapela, inżyniera w Blidzie, który wojskowemi robotami tam kierował.

Mój przewodnik murzyn. Napad Kabylów.
Kara Mustafa Bej, prawnuk pobitego pod
Wiedniem wezyra. Tancerki arabskie. Budka
dróżnicza na drodze z Blidy do Medei.

* * *

Wyruszyłem o pierwszej rano z moim murzynem w drogę. Przewodnik mój był to tęgi około 50-letni mężczyzna, lekko wziął na plecy mój pakunek podróżny, kij palmowy do ręki i wyciągniętym krokiem ruszył na przód. Ja starałem się dorównać mu w szybkości, ale on, dziecko Afryki, syn Atlasu, lekko ubrany, szedł po szczytach gór, jakby po jakim chodniku, tymczasem ja co chwila ustawałem i wołałem do niego »dur«, t. zn. stój, na co on mi znów odpowiadał »fissa«, t. zn. prędzej i tyleśmy ze sobą rozmawiali.

W południe zerwała się burza — schroniliśmy się pod duże drzewo Carubii, przetrzymaliśmy ulewę. Powtórzyły się jednak takie masy dosyć dużych strumieni, które z łoskotem po kamieniach spływały, że trudno było iść wprost. Musieliśmy też nieco drogi nałożyć. Nad wieczorem, przechodząc przez jakąś dolinę, usłyszeliśmy nagle szczekanie psów — zaniepokoił się trochę mój przewodnik i mówi łamaną francuszczyzną: »wchodzimy w trybuł Kabyłów, trzeba uwa-

zać, żeby nas nie napadli». Ledwo wymówił te słowa, wypadło z szałasów stojących opodal kilka Kabylek i z okrzykiem »Giaur! Giaur« rzuciły się na mnie. Murzyn starał się im coś wyperswadować, wreszcie począł mnie bronić, a widząc, że im nie poradzi, rzucił się ku przejeżdżającym na koniach Arabom o interwencyę. Zanim Arabowie nadjechali, baby powaliły mnie na ziemię. Skutkiem doznanego w głowę uderzenia omdlałem. Ocućłem się dopiero pod wpływem zimnej wody, którą mi ktoś na głowę wylewał. Żadnych bab już w koło mnie nie było, tylko sami Arabowie. Nademną stał z płaszczem w rękę jakiś Arab na wspaniałym, w bogaty rząd przybranym koniu, a wskazując ostrzem pytał »kim sen« (kto jesteś?) odpowiedziałem po arabsku »blimem« (nie rozumiem). Przemówił wtedy do mnie po francusku, przeprosił mnie za napad Kabylów, których ogromnie po arabsku wymyślał, kazał mi podać konia i jechać za sobą. Jechaliśmy kawałek nic nie mówiąc — gromada Kabylów biegła za nami. — Przyjechaliśmy nad jakąś kupę kamieni, kazali mi zsiąść z ko-

nia, podjąc z ziemi trzy kamienie i rzucić na tę kupę. Uczyniłem to, a jak się później dowiedziałem, był to symbol zgody i odczytanie nieszczęść, jakieby z powodu mojej u nich bytności spaść na nich mogły. Przybyliśmy wreszcie do pięknego arabskiego pałacyku, położonego w ślicznym ogrodzie. Tam natychmiast rozebrano mnie, obmyto, dwóch służących ułożyło mnie na łożu, odziawszy poprzednio cieką wełnianą bielizną arabską. Przyszedł i mój gospodarz, przemówił do mnie po francusku, kazał mi pokazać wszystkie swoje rany i obiecał mi przysłać doktora, który mnie za kilka dni z nich wyleczy. Tymczasem przyniesiono czarną kawę i fajki. Zapaliliśmy je i w miłej pogawędce szybko nam czas schodził. Przyszedł niedługo i lekarz — stary Arab, przyniósł szarpie i bandaże przedtem jednak powiedział mi na jego rozkaz dwaj murzyni do łaźni, poczem stary Arab mnie namaścił jakimś medykamentem, rany zabandażował i poszedł. Położono mnie potem spać.

Rano przyszedł do mnie mój poczciwy gospodarz Kara - Mustafa - Bej, a ponieważ

moje suknie podarły się zupełnie we wczorajszej babskiej wojnie, kazał mi przynieść szaty arabskie i zrobił ze mnie zupełnego Araba.

Udaliśmy się potem na spacer do ogrodu. Za każdym z nas szedł chłopak z fajką i tytoniem, a prócz tego trzeci niósł dywan do rozesłania, gdybym był chciał wypocząć. Podziwiałem prześliczny ogród Mustafy i ładny pałacyk w głębi położony. Ale tam zbliżyć się nie było wolno, bo był to harem mego gospodarza. Wróciliśmy do domu, gdzie podano śniadanie: koskos (jest to narodowa potrawa arabska, kluseczki drobniutkie z ciasta, suszone, później gotowane z baraniną i dodaniem różnych korzeni; gotuje się to na parze w ten sposób, że do garnka z dnem dziurkowatym kładą potrawę i garnek ten stawiają na szczelnie przylegającym naczyniu, do połowy wodą nalanem) kurczęta i mnóstwo słodyczy.

Rozmawialiśmy dużo z gospodarzem, opowiadał mi o swej rodzinie. Pradziad jego był wielkim wezyrem tureckim, i bił się pod Wiedniem z Polakami.

* * *

Po kilkudniowym pobycie u Mustafy, kiedy już prawie całkiem zdrow byłem, trzeba mi było z nim się pożegnać. Namawiał mnie żebym u niego został, obiecał mi dać jaką piękną kobietę za żonę, ale musiał z tego zrezygnować. Czule się ze mną wyżegnał, a na odjezdne prośbami gorącymi zmusił mnie do przyjęcia ruloniku dwudziestu sztuk złota po dziesięć franków. Odjechałem na jego koniu w towarzystwie służącego do Blidy.

Bardzo niewygodnie mi było w tem arabskim siodle, ale o godzinie 8 rano byłem już w Szyfie ku wielkiemu podziwowi mych kolegów, a o kilka godzin później w Blidzie.

Zdziwił się poczciwy wujaszek Ujazdowski, zobaczywszy mnie w arabskim ubraniu. Kiedy mu całe zdarzenie opowiedziałem, ucieszył się niezmiernie, że taką dobrą znajomość zawarłem i objaśnił dopiero co to za wielka figura ten Mustafa, jakie ma poważanie u rządu i ludności, i że przychyłność jego może mi bardzo być pomocną.

Porozmawiawszy jeszcze trochę z wujaszkiem, poszedłem do miasta, kupiłem czarne

ubranie i z listem Szymańskiego, któremu na szczęście nie zgubił, udałem się do kancelaryi wojskowego zarządu inżynierii. — Pierwszą osobą, na jaką się tam natknąłem, był znajomy mój z afery pojedynkowej w Algierze kapitan inżynierii Dubois. Ucieszyliśmy się obaj z tego spotkania, a we mnie otucha wstąpiła, że może przy jego poparciu łatwiej mi będzie jakie zajęcie dostać.

Przyszedł i pan Chappel, trochę głową kręcił, wreszcie zaproponował mi posadę dróżnika na drodze z Blidy do Medei z pensją 60 franków miesięcznie i obietnicą szybkiego awansu na szefa dróżników. Naturalnie bez wahania posadę tę przyjąłem.

Otrzymałem zaraz od kapitana urlop na dwa dni, celem zaopatrzenia się w najniezbędniejsze rzeczy i poszedłem do mego mieszkania w hotelu Algere Nr. 5.

* * *

Ledwom przyszedł do hotelu, otwierają się drzwi i wchodzi mój niedawny przyjaciel Mustafa-Bej. Ucieszył się, dowiedziawszy się o mej nominacji, zwłaszcza, że mój poste-

runek leżał w jego terytorium. Potem kazał mi się ubrać po arabsku i obiecał mnie zaprowadzić na takie widowisko, gdzie Europejczyków nie puszczają. Poszliśmy do jakiejś kawiarni, były tam już dla nas przygotowane sofy, ponakrywane dywanami, podano nam kawę i fajki. Legliśmy sobie na sofach, niedługo zaczęła grać muzyka i zjawilo się sześć tancerek młodych i ładnych, każda ucłowała kraj szaty jego i mój i poczęły tańczyć, w dziwny ale zarazem niezwykle piękny sposób, pełen wyginań się, łamań i innych wdzięcznych ruchów.

Mustafa, skoro mu się jaki taniec więcej od innych spodobał, przywoływał tancerkę, a wydobywszy z kieszeni malarskie złoto, oddzielał zeń rozmaite gwiazdy, trójkąty, kółka, które na tym papierze były już ponarzynane i przylepiał jej na czole, policzkach, i gdzie mu się tam podobało. Mnie też dał takiego złota i kazał to samo robić. Takeśmy się zabawiali do rana, poczem mój Mustafa pojechał do domu, a ja poszedłem do »wujaszka« Ujazdowskiego prosić go o pomoc w zakupnie potrzebnych mi rzeczy.

Złatwiliśmy wszystko jak się należy. W mieście spotkałem mego towarzysza z okrętu Ciesielskiego. Trudnił się on z musu sztelmachstwem. Wyszedł dopiero co ze szpitala, chorował na nogę, którą sobie siekierą rozciął. Zaproponowałem mu, żeby przyszedł do mnie. Na skromne utrzymanie dla nas obu starczy — a może znajdzie i on jaką posadę. Zgodził się chętnie Ciesielski, spakowaliśmy więc nasze tłumoki i jego kołodziejski statek, najęliśmy dwa osiołki i za kilka godzin byliśmy w mojem nowem królestwie: budce dróżniczej Nr. 1, sekcji III, na drodze z Blidy do Medei.

Mój nowy zawód. Praca przy taczce. Kara Mustafa mebluje mój dom. Tragiczny zgon Ciesielskiego. Żydowski handel dziewczętami. Murzynka. Małpie stada. Polowanie w Afryce.

Przy pomocy Ciesielskiego, zacząłem prowadzić do ładu moje szczupłe mieszkanie. Poprzybijaliśmy półki, poustawialiśmy meble, wreszcie ja zabrałem się do sporządzenia śniadania, w czasie którego nadjechał mój przyjaciel Mustafa-Bej. Zaprosiłem go na naszą skromną ucztę, a że zaopatrzyłem się w różnego rodzaju trunki, więc na powodzenie w nowym zawodzie, wychyliliśmy po kilka kieliszków. Musieliśmy jednak szybko skończyć biesiadę, bo przed domem czekało kilkudziesięciu Arabów, których Mustafa chciał ze mną zaznajomić i polecić mnie ich szczególniejszej opiece. Kiedyśmy się zjawili wśród czekających, przywitali nas Arabowie okrzykiem trzykrotnem »niech żyje nasz książę (bej) i po trzykroć przed Mustafą nisko się skłonili. Skoro umilkli, zaczął Bej do nich przemawiać, wytłomaczył im, że nie jesteśmy Francuzi, lecz Polacy, którzy u nich gościny szukamy, że się nam należą prawa gościnności, że poleca nas ich opiece i żąda aby nas w każdym wypadku bronili i nie pozwolili nikomu zrobić nam żadnej krzywdy. Powtórnym trzykrotnym okrzykiem dali Arabcy do

zrozumienia, że przystają na wszystko, co im ich wódz przedstawił. Od tego czasu byliśmy aż do końca mego pobytu w Algerze w najlepszych z obu stron stosunkach.

* * *

Pierwszy dzień zeszedł mi na obznajomieniu się z terenem mej przyszłej pracy, a na drugi dzień o świcie wziąłem przed siebie taczki, kilof i łopatę do ręki i stanąłem do pracy. Trzeba było przebrać przykopę koło gościńca, którą niedawne deszcze zamuliły. Przy tej robocie zastał mnie kapitan Dubois, który jechał na lustrację gościńca, spodobała mu się moja robota, i obiecał mnie odwiedzić w mem nowem mieszkaniu, poczem odjechał.

Że to już była pora na śniadanie, położyłem taczkę moją do góry plecami, poprosiwszy ją poprzednio o pozwolenie spoczęcia na jej grzbiecie i wypalenia fajeczki. Obiecałem ją za to nakarmić oliwą, bo coś bardzo piszcząca. Śniadanie ugotowane przez siebie przyniósł mi Ciesielski, a choć nigdy kucharstwem się nie zajmował, bardzo mi

smakowało. Na obiad wróciłem do domu, a popołudniu znów na gościniec do pracy.

* * *

Tak mijały dni, jedno za drugim, we dnie pchało się taczkę przed sobą, a wieczorami rozmawialiśmy z Ciesielskim o naszych stronach, czytaliśmy dzienniki francuskie, które raz na tydzień z Blidy dostawałem i jakoś nam czas schodził. Ciesielski mając dużo czasu, a znając się trochę na stolarstwie, porobił krzesła, stoły, półki, szafki i mieszkanie nasze powoli zaczęło nabierać europejskiego wyglądu. Pocziwy zaś Mustafa zaraz po swych odwiedzinach przysłał mi mnóstwo wiktuałów, a nadto kur trzydzieści, kilka baranów i osła z siodłem i całym zaprzęgiem, żebym mógł się czasem do Blidy przejechać.

Odwiedzał mnie także czasami pocziwy mój szef kapitan Dubois, który nigdy mi nie dał odczuć nierówności naszej pozycji społecznej i owszem chętnie przyjmował u mnie gościnę i uważał mnie raczej za równego, niż za podwładnego nizkiej zresztą kategorii.

* * *

W jakiś czas potem przyjechał znów Mustafa. Przywiózł z sobą masę dywanów, mebli rozmaitych, przysłał też kilku majstrów, którzy w parę dni do niepoznaki moje mieszkanie odmienili. Pierwszy pokój był kuchnią zarazem, drugi zaś stanowił salon. Wzdłuż ścian naokoło stały sofy, przykryte dywanami, całą podłogę przykrywał ładny wschodni kobierzec, a nie brakło nawet lustra i firanek w oknach.

* * *

Nie było mi jednak danem długo zażywać spokoju, a przerwał go tragiczny wypadek, który na długo ślad w pamięci mojej zostawił.

A rzecz się tak miała: Poszedłem pewnego dnia z Ciesielskim do Blidy po żywność. Wyszliśmy rano, czas był prześliczny, mieliśmy zaś wrócić wieczorem. Tymczasem popołudniu zerwała się okropna burza, która nas zatrzymała w mieście, tak, że dopiero nad ranem mogliśmy zabrać się z powrotem. Idziemy sobie gościńcem, a tu widzę, woda

niesie kawał mostu. Mówię do Ciesielskiego, »wróćmy się do miasta, niema mowy o przedostaniu się na drugi brzeg«, ale Ciesielski nie chciał mnie słuchać i idzie do wody. Liczył na to, że umie pływać. Ledwo stanął nogą w wodzie, już go bystry prąd rzeki porwał i uniósł. Ledwo po kilku godzinach znaleźli Arabowie jego ciało. Bolesć mnie za serce ścisnęła nad biednym Ciesielskim, że z dała od ojczyzny i swoich tak marnie życie skończył. Wykopałem mu własnoręcznie grób, nakryłem ciało wonnymi ziołami dla ochrony od szakałów i zbudowałem na mogile krzyżyk z kamiennych głazów.

* * *

Po tem całym zajściu tak mi było trudno pozostać na tym samym posterunku, że prosiłem kapitana, by mnie inną jaką sekcję przeznaczył. Wziął sobie pocziwy Dubois moje prośby do serca i w kilku dniach otrzymałem nominację na starszego dróżnika z siedzibą o kilkanaście kilometrów oddaloną od mej dotychczasowej stacyi.

W kilka dni potem objąłem mój nowy

posterunek i przy pomocy kolegi mego Sawickiego, którego błakającego się po Blidzie spotkałem i do siebie zabrałem, zagospodarowałem się był na dobre. Ogród założony przez mego poprzednika uprawiał Sawicki i kuchnią się zajmował, a że przytem był zapalonym myśliwym, nieraz więc i zwierzynę mieliśmy na obiad. Chowalem nawet dwa wieprze i z dobrym zarobkiem sprzedałem je masarzowi z Blidy. Jednem słowem zaczynało mi się powodzić dobrze i niejednego z Polaków nawet do siebie przygarnąłem, dawszy im zajęcie przy konserwacyi drogi.

Odwiedzał mnie też często Mustafa i razem z nim robiliśmy wycieczki do Blidy lub Medei. Wycieczki te odbywałem zwykle w arabskim stroju, bo tak sobie mój przyjaciel i protektor życzył.

* * *

Pewnego dnia wybraliśmy się do Medei, cały wieczór zabawialiśmy się w różnych arabskich traktyerniach, kawiarniach, wreszcie po północy zaprowadził mnie mój przyjaciel do jakiegoś obdrapanego domu nad morzem.

Gospodarz tego domu stary żyd, miał na sprzedaż kobiety. Było ich kilkanaście, wszystkie przeważnie stare i nie ładne, ale jedna młoda murzynka, dziewczyna lat może około 15, tak mnie swoją niezwykłą urodą zajęła, że musiałem całą siłą obudzić w sobie swoje chrześcijańskie zasady, aby nie uledez namowom Mustafy i wyrzec się chęci kupienia tej dziewczyny.

Wróciliśmy nad ranem do domu. Mustafa przez całą drogę przekpiwał sobie z efektu jaki na mnie murzynka zrobiła i coś bardzo pod nosem się uśmiechał, ale nie zwracałem na to uwagi. Cały dzień zeszedł mi jak zwykle, wieczorem zapaliłem fajkę i rozpocząłem czytanie gazety. Nagle otworzyły się drzwi od sieni i ktoś po francusku zapytał »czy pan jest w domu«. Wyszedłem do drugiego pokoju i osłupiałem. U drzwi stała moja znajoma wczorajsza — murzynka z rozpaczliwym wyrazem twarzy i łzami w oczach, że aż litość brała patrząc. Domyśliłem się całej historyi. Oto Mustafa chcąc mi zrobić przyjemność, kupił pokryjому u żyda murzynkę i przysłał mi ją w darze.

Biedna dziewczyna była zrazu strasznie za-
 lękniona, ale powoli poczyniała się z nowem
 swem położeniem oswajać. Pokazałem jej jak
 ma nakryć do stołu, jak posprzątać, jak po-
 czyścić ubrania, wreszcie wskazałem jej sofę
 do spania, dałem mój płaszcz do przykrycia
 się. Posłuchała mnie bez poprzedniego już
 załknienia. Rano wstawszy kazałem jej w do-
 mu pozostać, nigdzie nie wychodzić i nie po-
 kazywać się nawet w oknie. Bo wedle fran-
 cuskiego prawa, jakie dla siebie wyrobili tu-
 bylcy, mieszkanie mahometanki pod jednym
 dachem z chrześcijaninem, pociągało za sobą
 bardzo surowe skutki karne dla obojga, nie-
 chciałem się więc narażać na coś podobnego.
 Nawet Sawickiemu dałem mieszkanie w ba-
 rakach, bojąc się, aby mnie jakim niebacz-
 nem słówkiem nie zdradził. Postanowiłem
 wybrać się do Mustafy i poradzić się go,
 co z tym fantem zrobić, ale uprzedził moje
 zamiary, bo sam nadszedł. Zrobiłem mu wy-
 mówkę, że wbrew mej woli przysłał mi mu-
 rzynkę, ale jak mi zaczął perswadować, że
 mi koniecznie potrzebna w domu służąca do
 spełniania różnych posług domowych, tak

mnie w końcu i przekonał. Prosił mnie tylko
 i nakazał surowo murzynce, aby się nigdzie
 za próg domu nie wychylała, a co najwięcej,
 aby nie zdradzić, iż on wie o jej bytności
 w moim domu. Rzeczywiście trzymałem moją
 murzynkę prawie w zamknięciu, tak, że koledzy
 zaczęli się ze mnie podśmiewać i zgoła
 o co innego, niż było w istocie mnie podej-
 rzywali. Jednemu tylko Dubois opowiedzia-
 łem całą prawdę, uśmieł się szczerze z mo-
 ich kłopotów, ale i przestrzegł, bym się miał
 na baczności przed Arabami.

* * *

Minęło parę tygodni, przyzwyczałem się
 do mej murzynki i pozyskałem w niej przy-
 chylną, wierną i uczciwą służbę. Zaczynałem
 już niewierzyć w rzekome, grożące mi ze
 strony Arabów niebezpieczeństwo i coraz
 mniejsze środki ostrożności przedsiębrałem,
 nie wiedząc, że zbliża się ku mnie burza. —
 Arab jeden, jak mi potem to sam opowiadał,
 spostrzegł murzynkę w oknie, ale ta zaraz
 odeszła i więcej się nie pokazała. Przyszedł
 więc drugi raz cicho pod drzwi i przez dziurkę

od klucza dobrze ją zobaczył. Dał o tem znać swoim współwyznawcom, a ci, zebrawszy się we wsi, przyszli pod wodzą Imama (ksiądz muzułmański) do mnie, aby murzynkę zabrać, a mnie do sądu zaskarżyć o naruszenie praw, jakie im Francya przyznała. Nie wiedząc jak wybrnąć z tej afery, opowiedziałem im, że tę murzynkę kupiłem w Medei, że nie wiedziałem o istnieniu tego prawa, o którym mi mówią, i że zgodzę się na to, co oni postanowią. Ułagodziłem tym sposobem ich gniew, ale i tak postawili na swoim, bo murzynkę zabrali. Pocieszał mnie Mustafa, że ona ucieknie i do mnie wróci, ale minęło trzy tygodnie i jej nie było. Powróciliśmy znów do dawnego trybu życia. — Sawicki mi gotował i koło gospodarstwa chodził i tak zupełnie prawie o mojej murzynce zapomniałem. Aż tu jednego dnia, kiedy paląc fajki wieczorem rozmawiamy z Sawickim, a na dworze deszcz leje jak z cebra, otwierają się drzwi, wpada moja murzynka w męskim burnusie i rzuca mi się do nóg. Opowiedziała mi, że była w haremie u żony jednego Araba jako służąca, ale ją pilnowali

w dzień, a na noc zamykali, więc kupiła sobie od jednego ze sług burnus męski i uciekła do mnie, bo ona chce być tylko moja niewolnicą i do mnie tylko należeć. Po tych słowach znów zaczęła płakać i prosić mnie, bym jej nie wypędzał. Miałem początkowo zamiar dać znać Arabom o jej powrocie, ale tak mnie wzruszyła swem przywiązaniem, że powiedziałem sobie, niech będzie co chce i zatrzymałem ją u siebie, mimo przedstawień Sawickiego, abym się nie narażał.

* * *

Niedługo była u mnie tym razem murzynka, bo już na trzeci dzień przyszedł Imam w towarzystwie kilku Arabów i mimo wielkich jej płaczów i lamentów powiedli ją ze sobą. Musiałem robić dobrą minę na złą grę i udawać, że z chęcią się jej pozbywam, aby niepotrzebnie Arabów nie rozdrażniać. Dogryzali mi koledzy, choćem się odcinał jakem mógł.

* * *

Wróciliśmy znów z Sawickim do naszego

pierwotnego porządku. Sawicki jako szef kuchni miał obowiązek zaopatrywać stół w zwierzynę, włóczył się więc ciągle po polowaniach, ja mu dotrzymywałem towarzysztwa, a nie będąc takim zapalonym myśliwym, bawiłem się głównie widokiem rozmaitych nieznanych w naszej strefie zwierząt. Największą zabawę mieliśmy z małpami, których taka tam jest obfitość, że jedno pasmo górskie nosi nawet nazwę »góry małpie«.

Małpy te zawsze rano przechodziły gromadą koło naszego domu na wyprawę do ogrodów arabskich, a obładowawszy się owocami wracały z powrotem w zupełnym szyku i porządku jakby na manewrach. — Naprzód szedł stary duży małpiarz i bacznie rozglądał się na wszystkie strony. Za nim w odległości kilkunastu kroków forpoczta, składająca się z kilku małp. Forpoczta ta wszedłszy w okolicę, zdaniem swoim niebezpieczną, dawała rozmaite sygnały i zależnie od tego małpi korpus albo zwracał się na miejscu i zmykał, albo spokojnie szedł naprzód.

Kiedy Arabowie zirytowani gospodarką małpią w swych ogrodach, zaczynali je go-

nić z fuzyami, wtedy warto było widzieć, z jaką nie do opisania zręcznością stworzenia te zmykały, a mimo tragicznej chwili, miały tak komiczne miny, że trudno było powstrzymać się od śmiechu.

Zabawny był także widok jak na małpy na wzgórzu siedzące rzucali nasi robotnicy kamykami. Małpy wtedy, o ile widziały, że nikt nie ma fuzyi, odpowiadały na pociski, robiąc przytem niezmiernie zagniewane miny.

Raz brałem sam udział w takiej potyczce i udało mi się szczęśliwie trafić jedną z małp kamieniem między oczy. Spadła ze skały i zemdlała, związałem jej wszystkie cztery ręce rzemykiem, zaniosłem pod wodospad, gdzie przyszła szybko do siebie. Zanieśliśmy ją do domu, zrobili na prędce klatkę, w parę dni małpa się oswoiła i nieraz nas rozweselała swymi skokami. Napał się potem tej małpy znajomy mi kupiec z Blidy; odstąpiłem mu ją za głowę cukru i dwie flaszki rumu. Urosła stąd bajka, że małpami handluję, ale taki to był cały handel. Próbowaliśmy nieraz potem schwytać żywcem jaką małpę, ale już nam się nie powiodło, strzelać zaś nie było

racyi, bo mięso z tego doniczego, a i skóra nie wiele warta, jak wogóle ze wszystkich afrykańskich zwierząt, np. szakala, królika, hyeny, nie mówiąc naturalnie o lwie i tygrysie, których skóry są w dobrej cenie, a prócz tego rząd daje nagrodę po 100 fr. od zabitej sztuki.

Polowanie nie wiele warte w północnej Afryce, najwięcej na ptastwo, którego jest obfitość, a szczególnie kur kartagińskich, podobnych do naszych kuropatw, tylko prawie dwa razy tak wielkich. Przepiórek biją także myśliwi po kilkadziesiąt sztuk dziennie, zwłaszcza w porze, kiedy na zimę wracają z Europy. Z grubego zwierza widziałem tylko raz panterę, ale szedłem bez fuzyi, więcem czempredziej uciekł.

Tę panterę zabił potem Girard, sławny francuski myśliwy, który bawił u mnie w gościnie dni kilka, zabił także w pobliżu w górach Atlasu lwa, kilka hyen i wiele drobniejszego zwierza. Był to sławny myśliwy nieporównanej odwagi, a wybił tyle drapieżnych zwierząt, że aż Napoleon III ozdobił go krzyżem zasługi.

Okrucieństwa generała Pelissier. Powrót Murzynki. Powiększenie mego gospodarstwa. Swaty ze siostrą Kara Mustafy. Chmury na horyzoncie politycznym. Budowa domu dla Murzynki. Podanie o dymsyę. Ostatnie dni w Afryce.

Tak mijały dnie i miesiące. Rozstałem się z Sawickim, który dostawszy jakąś niezłą posesadę opuścił mnie. Na miejsce jego przybył do mnie kolega mój Żmijewski, poczciwy chłopak, ale ten już nie był myśliwym. Żyliśmy sobie znów spokojnie i względnie pomyślnie, z dala tylko dochodziły nas wieści o nowych ruchach pośród Kabylów, którzy znów powstałi przeciw rządowi, o krwawych walkach, w których brały udział kobiety i dzieci, o nieludzkim postępku głównie dowodzącego Generała Pelissier, który kilka tysięcy rodzin kabylskich, szukających schronienia w pieczarach Konstantyny, a nie chcących się poddać, kazał ogniem i dymem wydusić, czem ściągnął na siebie słuszne oburzenie całej europejskiej opinii. W walkach tych udziału nie brałem, ale że kilku mych dróżników powołano do wojska, przyczyniło mi się roboty. Musiałem nawet Żmijewskiego posłać na chwilowe zastępstwo nieobecnego dróżnika i w jakiś czas zostałem sam na całym gospodarstwie.

* * *

Razu pewnego wracam w południe do domu, otwieram drzwi, gdy nagle z krzaka, obok domu rosnącego, wypadła jakaś postać i rzuciła mi się do nóg z płaczem. Poznałem ją natychmiast, była to moja murzynka.

Tym razem postanowiłem mimo wszystko zatrzymać ją u siebie, tak mnie ujęła jej życzliwość dla mnie. Zamierzałem nawet zawieść ją do Blidy i dać ochrzcić, bo wtedy nie mogłoby mnie ze strony Arabów nic złego spotkać. Dla pewności jednak postanowiłem się poradzić Mustafy i w tym celu zaprosiłem go do siebie na konferencję.

Mustafa zaraz przyjechał i dał mi następującą radę: on powie od siebie Arabom, że murzynka do mnie wróciła i że ja postanowiłem ją odesłać — radzi im jednakże, aby mnie do tego nie zmuszali, bo mógłbym się rozgniewać i przenieść w inne strony, a jeśli na moje miejsce przyjdzie jaki Francuz, to z pewnością oni sami najgorzej na tem wyjdą. — Zaprosiliśmy więc Imama, starego Iskintera Safę i kilku poważniejszych Arabów. Mustafa wyłuszczył im swoje racje, a skoro dodał, że ja mam ochotę przejść

na muzułmańską wiarę i potrzebuję murzynki dla ćwiczenia w mahometańskim katechizmie, zalecili jej tylko, aby gorliwie modliła się do Allacha o moje nawrócenie i odeszli spokojnie z powrotem. Murzynka nie posiadała się z radości, rzuciła mi się do nóg, biegła jak szalona po izbie, to znów wybuchała śmiechem, wreszcie poczęła mi mówić, że jest moją niewolnicą na zawsze, że na mój rozkaz chętnie sobie głowę da uciąć i t. p. Zastanowiło mnie to jej przywiązanie, nic na to nie odpowiedziałem, ale postanowiłem sobie, że dopóki będę w Afryce, dopóty żyć z nią będę na takiej stopie, aby wiedziała, że niczem innym dla niej nie jestem, jak łagodnym i dobrym panem, że nie nabyłem jej w żadnych widokach, ale z litości, aby obdarzyć wolnością, jaką każdy człowiek powinien, a nie uważam jej za niewolnicę, ale jako wolną kobietę, służącą u mnie za wynagrodzenie jakie jej płacę.

* * *

Za przybyciem murzynki gospodarstwo moje zaczęło lepiej iść, chowałem kury, in-

dyki, kozy, bardzo mleczne, maltańskie, baranów kilkadziesiąt i osłów parę. Dostałem też od jednego Araba dwa kocięta lwie, wielkości dużych kotów, murzynka tak je oswoiła, że z ręki jadły, a kiedy wróciłem z roboty, miałem wielką satysfakcję w przypatrywaniu się ich igraszkom. Później i małpę znów dostałem, murzynka jej poszyła sukienki i czapeczki, małpa ta wyuczyła się rozmaitych sztuczek, i bawiła się ze mną tak jak dziecko. Jak ją kiedy murzynka skarciła, to przychodziła do mnie z płaczącą miną, pokazując mi kij i tył, jak ją bito.

Z Arabami byłem w jak najlepszej komitywie, z Mustafą i jego rodziną byłem w bardzo dobrych stosunkach i często w ich domu bywałem. Żona Mustafy, śliczna i wykształcona kobieta, grała bardzo dobrze na fortepianie, mówiła dobrze po francusku i niezwykle miłą była w rozmowie.

Sekowała mnie murzynką i namawiała, abym przyspieszył mój zamiar przejścia na muzułmańską wiarę i tak mnie tem nieraz męczyła, że nie wiedząc jak jej się tłomaczyć, powiedziałem jej, że już nie o samą

religię mi chodzi, ale o ceremonie chrztu i szczególnie jednego obrządku, który odbyć trzeba a do którego mam wielki wstręt. Domyśliła się o co idzie, i już w tej sprawie więcej nie mówiła. Nie będę tu opisywał tej ceremonii, którą niektórzy z moich kolegów, turcząc się, musieli przechodzić, że wspomnę o pułkowniku inżynierzy Jerzmanowskim, który ten chrzest turecki kilkutygodniową chorobą opłacił, powiem tylko, że wszyscy wyznawcy Mahometa mają ten sam obrządek, co u nas żydzi przy »chrzcie«.

* * *

Miałem i różne przykre chwile, to skała się oberwała i drogę zepsuła, to Arabowie ukradli kilkadziesiąt metrów poręczy, a ja za wszystko byłem odpowiedzialny. Zmienił się i mój szef. Na miejsce kapitana Dubois przyszedł inny, kapitan inżynierzy, mowy już nie było o takim serdecznym z nim stosunku jak z jego poprzednikiem, traktował mnie tak, jak swego podkomendnego żołnierza.

Mustafa-Bej umyślił sobie znowu ożenić mnie ze swoją siostrą i męczył mnie nieustan-

nie, żebym się przekabacił na Turka, ale skoro mu stanowczo odmówiłem, ochłódł dla mnie w swych afektach, lubo do końca mego pobytu w Afryce byliśmy w bardzo ze sobą serdecznych stosunkach.

* * *

Tymczasem na horyzoncie politycznym zaczęły się zbierać chmury — codziennie pilnie czytałem gazety, jużem spokojnie usiedzieć nie mógł w miejscu — myśl moja ciągle ku ojczyźnie ulatała. Zdało mi się, że już zbliża się chwila walki. Blizka wojna Rosyi z Francją przywodziła mi na pamięć proroctwa Wernyhory i nieraz z drżeniem czytałem gazetę, czy nie wyczytam wieści, że »Turek w Wiśle konie poi«.

Radziłem się »wujaszka« Ujazdowskiego w Blidzie, czy rzucić moją posadę i czekać w Turcyi na chwilę sposobną, ale starowina powiada »siedź na miejscu, zbieraj pieniądze, a jak zobaczymy, że sztandar krwawy z białym orłem już powiewa, to pójdziemy wszyscy i ja nie pozostanę, ale nie przelewajmy krwi naszej i nie idźmy jak barany na rzeź w spr-

wie, która nie wiezieć, jaki dla nas obrót weźmie«. Posłuchałem starego i znów na swe miejsce do gór Atlasu powróciłem.

Spostrzegła zmianę mego usposobienia murzynka i coraz częściej zapadała w zadumę i coraz częściej, gdy od roboty wracał do domu, zastawałem ją jak łzy cichaczem ocierała. Wreszcie pewnego wieczoru zapytała mnie otwarcie co mnie trapi. Odpowiedziałem jej, że prawdopodobnie w moim kraju rodzinnym będzie wojna, że biję się z myślami co robić, czy zwłóczyć z wyjazdem, lub odrazu do ojczyzny powracać. Łzami się zalała, skoro o mym zamiarze pomsłyszała i poczęła mnie prosić i błagać, abym ją zabrał ze sobą. Przedstawiłem jej jednak, że obecnie to niemożliwe, że na wojnie jako kobieta by tylko zawadzała, że w moim kraju zupełnie inaczej niż tutaj — że on lodem pokryty prawie połowę roku, zimny, chłodny, nie potrafiłaby tam wyżyć. Nie pomagały jednak wszelkie perswazyje, aż ją nareszcie uspokoiła obietnica, że po skończonej wojnie wrócę do Algeru i zabiorę ją ze sobą do Polski, a tam ją umieszczę u której z sióstr

moich, dopóki sam własnego domu nie założę.

Nie chciałem jej jednak robić zawodu, dlatego po porozumieniu się z Mustafą, postanowiłem za zaoszczędzone z mej płacy pieniądze kupić kawałek gruntu, urządzić tam małe gospodarstwo, i osadzić tam moją murzynkę, jako wolną obywatelkę.

Jako pośrednika w tej sprawie uprosiłem Mustafę, żeby naprzód przekonał murzynkę o konieczności pozostania w Afryce, a następnie wyszukał jaki odpowiedni kawałek gruntu.

Chętnie się zgodził Mustafa i po długich namowach zdołał wytłumaczyć murzynce o niemożliwości jej wyjazdu do Polski. Ona z iście wschodniem poddaniem się przeznaczeniu, plan mój aprobowała, chociaż rześiste łzy z oczu jej płynące kłama słowom zadawały.

A działało się to było na wiosnę jakoś 1853 roku.

Pocziwy Mustafa doskonale wywiązał się z przyjętego na się obowiązku, nie tylko wyborny plac wśród pól swoich wyszukał, nie tylko materyał własny i robotników przysłał,

ale nie chciał w żaden sposób przyjąć za to żadnego wynagrodzenia i tak serdecznie prosił mnie o przyjęcie tej, jak mówił, drobnotki, że w końcu zgodzić się na to musiałem.

Wspólnie obmyśliliśmy plan domku, składał się on z trzech pokojów i kuchni, sień dzieliła całe mieszkanie na dwie połowy, w jednej, gdzie pokój i kuchnia, harem dla murzynki, w drugiej, mieszkanie dla przyszłego jej męża.

Bo czyniąc to, miałem na myśli wydanie murzynki za jednego murzyna nazwiskiem Iskindra, którego Mustafa jako nadzorcę prowadzonych robót mi przysłał.

Murzyn ten podobał mi się niezmiernie tak ze swej pracowitości, jak z łagodnego i spokojnego charakteru. Zwierzyłem się z mej myśli Mustafie i ten nie tylko ją z aplauzem przyjął, ale mi natychmiast Iskindra darował, abym go mógł sam wyswobodzić.

* * *

Kiedy już dom był prawie na ukończeniu, postanowiłem wybrać się do Blidy i prosić pana Chapel, kierownika dyrekcji inżyn-

nieryi o uwolnienie ze służby. Nie mogłem już dłużej usiedzieć na miejscu, niepewne i mgliste wiadomości gazeciarskie, przyprawiły mnie prawie o chorobę, żyłem jak w ciągłej gorączce.

Przyjął mnie pan Chapel bardzo uprzejmie, ale odradził takie nagłe postanowienie. Ale tak mi się przecie paliło pod nogami, że mimo to wniosłem podanie o uwolnienie z dniem 1-szego następnego miesiąca.

Zbliżał się już czas mego uwolnienia, dom już był skończony, ogród obwiedziony fosą i obsadzony żywopłotem, pole (około dwóch morgów) obrobione i zasiane kukurudzą i jęczmieniem, inwentarz żywy składał się z 6 dużych i mlecznych kóz maltańskich, 30 baranów, 2 osłów, 1 konia i mnóstwa kur.

Nadszedł wreszcie dzień 1-go kwietnia 1853 r., zjawił się mój następca Francuz, grzeczny człowiek, były podoficer inżynierii, oddałem mu wszystkie rejestry, naczynie, odebrałem pokwitowanie, które oddałem w zarządzie inżynierii w Blidzie, pożegnałem się serdecznie z oficerami, a otrzymawszy bardzo pochlebne świadectwo i dwumie-

sięcną pensyę jako gratyfikacyę, wyszedłem już jako emerytowany szef-dróżnik z kancelaryi.

Kilka dni spędziłem u Mustafy, a następnie obaj udaliśmy się do mego domku, żeby zobaczyć jak naszej murzynce idzie gospodarstwo. Przyjęła nas bardzo okazale, domek czysto i schludnie urządzony bardzo miłe robił wrażenie.

Zawołaliśmy ją i Iskindra do siebie i oznajmiliśmy im nasz zamiar pożenienia ich ze sobą. Oboje byli równo zdumieni, ale zdaje mi się, że Iskinder więcej się cieszył niż Mali (tak się nazywała murzynka), w końcu jednak i ona przystała mówiąc, że wszystko co z mych ust usłyszysz, jest dla niej tak świętem, jak Koran.

Następnego dnia miałem już wyjeżdżać. Mali ustroiwszy się w najpiękniejszą suknię, ubrana świecidełkami, które nie mniej jasno świeciły, niż łyzy się w jej oczach perłace, wystąpiła z wspaniałym obiadem. Siedzieliśmy z Mustafą smutni i zgnębieni, a i mnie łyzy ciągle do oczu napływały. Po obiedzie przebrałem się po arabsku, bo tak

sobie Mustafa, który do Algieru mnie odprowadzał, życzył, pożegnałem się z Mali i Iskindrem, pobłogosławiłem ich i ucałowałem serdecznie, siadłem na koń, Mustafa za mną, ścisnąłem konia ostrogami, a w uszach ciągle mi jeszcze dzwonił płacz Mali i Iskindra. I tak skończyła się moja sielanka w górach Atlasu.

* * *

Szybko nam zeszła ta droga do Algieru. Zdaje się, że nasze usposobienie udzieliło się i koniom, bo pędziły jak szalone. Minęliśmy Buffarik, Duerę i nad ranem stanęliśmy u celu podróży. Stanęliśmy w hotelu Europejskim, a po paru godzinnym wypoczynku wyszliśmy na miasto, aby wystarać się w prefekturze o paszport.

Spotkałem się z kilku kolegami, Franciszkiem Piaseckim, Boguckim i innymi. Wszyscy wybierali się do Turcyi, ale nie chciano w prefekturze wydać im paszportów do Turcyi.

Bogucki, który, nawiasem mówiąc, chwycił się rzeźnictwa i cały warsztat w którymś

z pobliskich miasteczek posiadał, opowiedział nam, że zgodził się z jednym kapitanem żaglowego okrętu, który za 50 franków zgodziłby się nas przewieźć do Turcyi bez paszportu.

Postanowiliśmy się zejść nazajutrz w restauracyi polskiej i kwestyę tę bliżej obgadać, tymczasem zaś poszedłem z Mustafą do teatru.

W teatrze spotkałem kilku znajomych, między nimi państwa Mękałskich, znanych mi z pierwszego mego pobytu w Algierze. Ucieszyli się mym widokiem i zdziwili arabskim strojem moim.

Nazajutrz w restauracyi polskiej Paprockiego zeszło się nas kilku, Fr. Piasecki, Bogucki, Wójcicki, a że moja próba uzyskania w prefekturze paszportu do Turcyi się nie powiodła, postanowiliśmy jechać z tym kapitanem, o którym nam Bogucki opowiadał.

W ciągu dnia zgłosił się jeszcze do mnie z zamiarem jechania do Turcyi Antoni Dunikowski, b. podoficer ułanów z roku 1831 i z wojny węgierskiej. Ten w Algerze zara-

biał na życie krawiectwem, ale nie najlepiej mu się wiodło.

* * *

W ostatni wieczór poszliśmy z Mustafą do kawiarni arabskiej, leżąc na sofach piliśmy kawę i przypatrywaliśmy się pląsom pięknych rzeczywiście danserek, którym w nagrodę za ich produkcyę przylepialiśmy miejscowym zwyczajem złoto w karteczkach na różne części ciała.

Wróciwszy do hotelu — kazałem spakować nasze rzeczy, pożegnałem się czule z Mustafą, poleciłem jego opiece Iskindra i Malę i udałem się z tobołkami na okręt, gdzie zastałem już Boguckiego i Dunikowskiego.

Tak się zakończył mój pobyt w Afryce.

Na francuskim okręcie. Burza. Na Malcie. Dalsza droga. Cisza morska. Tunis i Aleksandrya. Major wojsk egipskich Hipolit Kuczyński. Pomoc wicekróla Egiptu. Odjazd z Aleksandryi.

Było to w początkach maja 1853 r., gdy francuski trójmasztowy okręt żaglowy wypłynął z portu algierskiego i dzióbem swym szybko pruć począł błękitne fale śródziemnego morza. Załoga okrętu z gorączkowym pośpiechem krząta się około żagli, lin, ciesząc się z przychylnego wiatru, każdy czemś zajęty, czterech ludzi stoi tylko na pokładzie w głębokiej zadumie, żegnając ginące w niebieskawej mgle wybrzeża Algieru. Byłem to ja i moi trzej towarzysze, Bogucki, Duniowski i Wójcik. Każdego z nas jedna tylko myśl niepokoiła, czy dobrze zrobił porzućwszy z takim trudem wywalczone stanowisko, aby na niepewne losy rzucić całą swoją egzystencję. Mnie zwłaszcza żal ścisnął serce, skoro wspomniałem na mego nieodżałowanego przyjaciela Mustafę, na pocziwych murzynów moich, których już pewno nigdy w życiu nie zobaczę.

I czy ta moja tułaczka przyniesie jaką korzyść naszej świętej sprawie narodowej? Jeżeli Rosya ulęknie się koalicji Europy i zawrze pokój z Turcyą, albo jeśli przez zbytnią drażliwość mocarstwa nie dopuszczą

do poruszenia sprawy polskiej, wtedy wracać do Algieru — niema funduszków, zostać w Turcyi w kraju biednym i zależnym zupełnie od Austryi i Rosyi, byłoby to samo co czekać uwięzienia lub wydalenia z kraju tego.

Smutne nasze myśli przerwało ostrzeżenie kapitana, żeby zejść pod pokład, bo zbliża się burza. Rzeczywiście w krótkim czasie zerwała się straszna nawałnica, około 4 z rana wyrwała woda szczelinę w dnie okrętu i fale morskie poczęły się wdzierać do środka. Musieliśmy do rana wraz z majtkami pracować przy pompie, aż wreszcie morze się uspokoiło, szczeliny pozatykano pakułami namoczonemi łojem i zalano smołą i choć z biedą popłynęliśmy dalej — aż piątego dnia zawinęliśmy do portu Wiktorya na wyspie Malcie położonego.

Miasto to leży na trzech półwyspach i składa się właściwie z trzech zupełnie oddzielnych miasteczek, posiadających nawet osobne nazwy. Część, w której wylądowaliśmy była bardzo pięknie zabudowana, piętrowe kamienice, każda prawie o kilku gankach i balkonach przystrojonych kwia-

tami. Mnóstwo kościołów o bardzo pięknej strukturze. Prawie każda ulica ma swój kościół od którego nazwę bierze i tak ta, która od portu prowadzi nazywa się ulica św. Piotra. Dziwny widok sprawia mnóstwo habitów snujących się po ulicach, bo prawie cała młodzież w habitach chodzi. Księża tu ogromne prawa w rządzie mają. W środę, piątek i sobotę nie wolno jest jeść z mięsem nawet w restauracjach maltańskich. Gdyby ksiądz w który z tych dni znalazł u kogo mięso gotujące się, wolno mu mięso to zabrać, a właściciela podać do ukarania.

Nabożeństwa tak jak u nas odprawiają, ale z tą odmianą, że cała służba kościelna w habitach chodzi.

* * *

Ponieważ kapitan zapowiedział nam, że musimy w tej miejscowości zatrzymać się kilka tygodni, wyszukaliśmy sobie hotel, w którym za dwa franki dziennie otrzymaliśmy pokój o 4 łózkach. Ale nie chcieliśmy tu długo popasać. Umyśliliśmy sobie wynaleźć jaki szybszy okręt odchodzący do Kon-

stantynopola, ażeby na darmo czasu nie tra-
cić i naszej szczupłej gotówki na kilkutygo-
dniowe życie nie wydać.

Następnego dnia poszedłem do drugiej
dzielnicy, ta już była znacznie brudniejsza
i gorzej zabudowana. Idąc ulicą usłyszałem
nagle dźwięki mowy polskiej. Spozieram ze
zdumieniem i z jeszcze większem poznaję
dwóch mych kolegów z Afryki, Borkowskiego
i Żmijewskiego. Biedaków tych, którzy bez
szeląga przy duszy wybierali się również do
Turcyi, przywiózł z Algieru kapitan francu-
skiego okrętu, za pomoc w ładowaniu towa-
rów. Obecnie zaś starali się oni o jak naj-
tańszy sposób dostania się do Stambułu.

Angielska poczta odmówiła ich prośbie,
czekali więc innej okazji i tułali się tak po
bruku maltańskim. Przykro mi było, że w ni-
czem nie mogłem im być pomocnym, bo fun-
dusze na nasze potrzeby i to nie bardzo nam
wystarczały. Dowiedziałem się od nich, że
na Malcie mieszka generał polski z r. 1831.
Izelszmit. Byłem u niego, chcąc mu się przed-
stawić i zasięgnąć jego rady. Nie bardzo miał
nadzieję w powodzenie naszej sprawy i są-

dził, że jeśli Anglia i Francya wezmą w spo-
dziewanej wojnie stronę Turcyi, to tylko ze
względu na własne interesy, w żadnym zaś
razie ze względu na sprawę polską. Dziwił
się też bardzo, że mając względnie dobre
stanowisko, rzuciłem je na niepewne fale losu
się puszczając. Naturalnie rozmowa ta nie
bardzo mi dodała otuchy. Kilka tygodni,
które musieliśmy dla naprawy okrętu spędzić
w »Wiktoryi« wlokło się nam w nieskończo-
ność. Wreszcie kapitan oznajmił nam pew-
nego dnia, że nazajutrz ruszamy w drogę.
Z radością przyjęliśmy tę wiadomość i za-
opatrzywszy się w świeże zapasy żywności,
które oddaliśmy pod opiekę naszemu intenden-
towi Dunikowskiemu, znaleźliśmy się w kom-
plecie na okręcie.

* * *

Trzeciego dnia po opuszczeniu Wiktoryi,
kiedy o kilkadziesiąt mil oddaliliśmy się od
lądu stałego, zaskoczyła nas cisza morska
i unieruchomiła nasz statek na 6 czy 7 dni.
Kto takiej ciszy nie przeżył, ten nie ma po-
jęcia, jakie straszne na umysł ludzki przy-

wołuje wrażenia. Dość powiedzieć, że byliśmy prawie bliscy obłądu, a tu przewidzieć nie można, czy przyjdzie stać na pełnym morzu miesiąc, czy może nawet i dłużej. Skoro siódmego dnia zawiął mały wiaterek, nie było końca objawom naszego ukontentowania. Nawet Dunikowski wydobyl gdzieś z ukrycia flaszkę rumu, którą spełniliśmy za zdrowie bożka Boreasza.

Wkrótce powiał jeszcze lepszy wiatr i w 4 dni zaprowadził nas do Tunisu, gdzie nasz kapitan miał jakieś towary do odstawienia.

W Tunisie zabawiliśmy tylko jeden dzień i ruszyliśmy w dalszą podróż. Zaraz po wyjeździe zerwała się silna burza i pierwszy raz zapadliśmy wszyscy na morską chorobę, która nas przez kilka godzin męczyła. Dunikowski, który się najlepiej trzymał, ratował nas herbatą z rumem i jakoś się nam poprawiło. Dziwna rzecz, że choroba ta zwykle silniejsza jest na żaglowcach, aniżeli na statkach parowych, tłumacząc to sobie jednak tem, że żaglowy okręt jako krótszy, lżejszy i wolniej płynący więcej się kołysze.

Droga dalsza do Aleksandryi, dokąd z Tu-

nisu płynęliśmy zesła nam bez żadnych więcej przygód, z wyjątkiem wielkiego zainteresowania jakie w nas wznicił przepływający obok okrętu ogromny wieloryb. Sądziłyśmy początkowo, że to łódź, Bogucki przysięgał, że to biblijny lewiatan, dopiero kapitan wyprowadził nas z błędu. Było z tego śmiechu i żartów co niemiara.

* * *

Dwunastego dnia zarzuciliśmy kotwicę w porcie Aleksandryi. Koledzy moi tak byli pomęczeni podróżą, że korzystając ze spoczynku okrętu sami położyli się spać, ja zaś z kapitanem udałem się do miasta. Zaprosiłem go na przekąskę do pierwszej z brzegu restauracyi, a zaspokoiwszy pierwszy głód, rzuciłem się z chciwością na gazety, aby z nich coś pewnego o wojnie się dowiedzieć. Kiedy tak jestem pogrążony w czytaniu, otwierają się drzwi i wchodzi jakiś wyższy oficer strojnie ubrany o prześlicznym sarmackim wąsie, z drugim po cywilnemu ubranym jego mościem. Obaj zmierzylśmy się wzrokiem i prawie jednocześnie zbliżyliśmy się do sie-

bie z okrzykiem radosnego zdziwienia. Był to mój dawny znajomy jeszcze z Krakowa Hipolit Kuczyński, major wojsk egipskich, a jego towarzysz także emigrant z Polski Kwiatkowski. Skoro przywitaliśmy się, opowiedział mi Kuczyński swoją historię. Po nieszczęśliwym ruchu rewolucyjnym w Galicyi w r. 1848 bił się w całej węgierskiej wojnie, stamtąd wraz z wielu Polakami wyemigrował do Turcyi. Z Konstantynopola dostał się do Paryża, gdzie przypadkowo poznał się i zaprzyjaźnił z synem wice-króla Egiptu, bawiącym na studiach wojskowych we Francyi. Z przypadkowej znajomości doszło do szczerzej przyjaźni i młody książę wracając do ojczyzny zabrał go do Egiptu, wyrobiwszy mu, jako byłemu oficerowi armii rosyjskiej i ukończonemu słuchaczowi akademii wojennej w Petersburgu, stopień majora w armii swego ojca.

Zaprosił mnie Kuczyński na czas mego pobytu w Aleksandryi do siebie i nadzwyczaj gościnnie mnie przyjmował.

Na drugi dzień rano po powrocie swym z mustry, przyniósł mi Kuczyński wiado-

mość, że układy gabinetu petersburskiego z wysoką portą zerwane zostały i że ambasador rosyjski wyjechał z Konstantynopola, oddawszy zastępstwo swej ambasady posłowi pruskiemu. Wojska rosyjskie maszerują nad granicę Xięstw Naddunajskich, Turcyja zaś zgromadza swą armię nad Dunajem i tam zdaje się w okolicy Szumli lub Widdynia pierwsze starcie mocarstw nastąpi.

Wiadomość ta tak nas uradowała, że wspólnie z kolegami, którzy z okrętu nadeszli, wychyliłmy kielich na powodzenie oręża tureckiego.

Paliła nas chęć jak najszybszego dostania się do Turcyi, a tu Bóg wie jak długo przyjdzie nam jechać naszym żaglowcem, obiecał nam więc Kuczyński wyszukać jaki parowy statek, któryby nas prędzej do celu zawiózł. Niestety, zabiegi te nie odniosły skutku, bo szedł tylko okręt austriackiej kompanii, a na tym baliśmy się puszczać w drogę, mając przykłady, jak się Austryja z Polakami nawet w Turcyi obchodzi. Spotkała nas za to niespodziewana pomoc pieniężna, bo wicekról zainteresowawszy się naszym losem,

przystał nam przez ręce Kuczyńskiego 600 piastrów na potrzeby naszej dalszej podróży. Przyszła nam ta pomoc jak z nieba, bo już ostatkami goniliśmy. Miło nam zeszło parę następnych dni, poczciwy major wraz z swym towarzyszem Kwiatkowskim starali się nas rozerwać, prowadzili nas do teatru francuskiego, pokazywali nam osobliwości miasta, tak, że kiedy nadszedł czas odjazdu, z żalem pożegnaliśmy ich, pocieszając się jednak myślą, że może wkrótce jako towarzysze broni spotkamy się pod jednym sztandarem. Bo jak chodziły słuchy i armia egipska miała pójść w sukurs sułtanowi.

Dalsza podróż ubiegła nam nieco przyjemniej, bo Kuczyński obdarzył nas na drogę lekturą Suego »Żyd wieczny tułacz« i »Tajemnice Paryża«, kolejno więc zmienialiśmy się w czytaniu. W kilku dniach jednak skończyliśmy oba dzieła i znów ogarnęła nas nuda. Niedługo wpłynęliśmy na wyspy Archipelagu greckiego.

W wyspach tych gnieźdzą się jak nam opowiadał kapitan, korsarze, którzy napadają okręty kupieckie. Jeśli okręt zanadto zbliży

się do brzegu, wtedy piraci podjeżdżają na łodziach do niego, hakami przyciągają do siebie i po zarzuconej drabince wdzierają się na okręt. Bardzo trudna z nimi jest sprawa, bo zwyczajnie załogi okrętowej nie atakują, a jedynie zawzięci są na dowódców, pod których pieczęą znajduje się kasa. Dlatego też załoga nie bardzo naraża swe życie, wiedząc, że jej nic nie grozi. Piraci mieszkają wraz z żonami i dziećmi w skałach nadmorskich, wobec władz udają spokojnych rybaków, a znając karę śmierci, która im grozi, tak są ostrożni, że prawie niemożliwe jest udowodnić im ich zbrodnie.

W cieśninie dardanelskiej. Stambuł. Żydki z Będzina. Czajkowski a Wysocki. Agencya Czartoryskiego. Enuncyacya Sadyk-Paszy. Zapisanie się do szeregów. Strój pułkownika kozackiego. Wojna a żydki. Awantura z Grekiem i sąd wojenny. Wyroki Sadyka-Paszy. Adryanopol i Bułgarzy.

Po kilku dniach dalszej podróży wpłynęliśmy w cieśninę Dardaneelską. Ku naszemu utrapieniu nastąpiła znów cisza morska; wprawdzie kręciło się około naszego statku kilka małych parowców z Konstantynopola, ale brakło nam już pieniędzy na opłacenie kosztów jazdy.

Kiedy tak zrozpaczeni myślą niewiedzieć jak długiego czekania u kresu prawie naszej podróży stoimy bezradnie, zjawia się nasz kapitan i radzi nam, abyśmy przeprawili się łożdżą do przeciwległego, już w Azji położonego miasteczka i przedstawivszy się tamtejszemu urzędnikowi tureckiemu, jako Polacy pragnący się zaciągnąć do wojska tureckiego, prosili o odesłanie nas do Konstantynopola. Usłuchaliśmy tej dobrej rady i w kilka godzin byliśmy już w miasteczku, nie pomnę jakiego nazwiska, u tureckiego paszy.

Nadspodziewanie uprzejmie przyjął nas pasza i potraktowawszy kawą i fajkami, polecił nam wydać karty na wolny przejazd do Konstantynopola a nadto wręczył nam po kilkadziesiąt franków gotówką. W towarzy-

stwie tłómacza wylądowaliśmy w Stambule na przedmieściu Pera.

Wysiadłszy z okrętu zawołaliśmy postugacza i kazawszy mu zabrać nasze pakunki, zdążaliśmy na ulicę Pera, gdzie mieszkał znajomy Dunikowski z czasów pobytu jego w Konstantynopolu po węgierskiej rewolucji, były żołnierz artylerji z r. 1831 a obecnie krawiec, Chomicki. Po drodze spotkaliśmy jakichś dwóch jegomościów, którzy niewiadomo w jaki sposób poznawszy z naszych fizyognomii naszą narodowość, przywitani nas polskim językiem mocno zdradzającym pochodzenie z Działoścyc lub Będzina.

— Nu, skąd panowie potrzebują jechać?

— Z Francji — odpowiedzieliśmy.

— Nu, to dobrze, już jest dużo Anglików, Francuzów, ale jak nasze panowie się zjeżdżają to widać, że będzie wojna. Ambador rosyjski już odjechał, a orła na pałacu zasłonił czarną płachtą.

Ucieszyło nas to spotkanie, tembardziej, że żydki pocziwe wskazali nam mieszkanie Chomickiego, do którego też zaraz udali się moi towarzysze, ja zaś poszedłem dalej sam,

chcąc się dostać do Czajkowskiego, o którym już z gazet wiedziałem, że formuje polskie zaciągi.

Idąc tak ulicą, usłyszałem nagle dźwięki polskiej mowy. Zelektryzowany obracam się i widzę jakichś trzech panów, wychodzących z obok położonej kawiarni »Jardin de fleurs«. Przystąpiłem do nich i uchyliwszy kapelusza przedstawiłem się im, opowiedziawszy pokrótce historję mego przybycia do Konstantynopola. Panowie ci, a byli to Władysław Sortelewski, Karol Brzozowski i Kurowski, zaprowadzili mnie do siebie i nadzwyczaj gorąco losem mym się zaopiekowali.

Mieszkanie mieli przy ul. Pera na pierwszym piętrze, dwa pokoje z kuchenką, w każdym pokoju po dwa łóżka, mieszkał bowiem z nimi i czwarty towarzysz Piotr Suchodolski, który wkrótce nadszedł. Zaprośili mnie na noc, zeszło nam na rozmowie do 12-tej. Na drugi dzień rano skoro wszyscy odeszli do swych zajęć a pozostał tylko Karol Brzozowski, prosiłem go o radę, co mam ze sobą zrobić. — Opowiadał mi wiele rzeczy, że Czajkowski doszedł do stopnia ge-

nerała i nazywa się Sadyk-Pasza, że formuje kozaków jako przez Padyszacha mianowany ataman kozacki, że werbuje Polaków, ale tych ma jeszcze bardzo mało, bo pod warunkami takimi, jakie stawia, nikt nie chce się angażować i my także odradzamy. »Naprzód szeregi wieździe Buńczuk turecki, a nie pod chorągiew polską, — komenda po rusku — ubiór jakiś azyatycki, a nie polski. Jest tu generał Wysocki, udawał się do Porty, żądając formowania legionu polskiego na warunkach czysto polskich. Wielki Wezyr Reschid-Pasza przyjął generała bardzo dobrze, ale Czajkowski intryguje. Kiedy wielki wezyr zwołał Radę państwa, Sadyk-Pasza obecny na niej, bardzo się sprzeciwił formowaniu legionu polskiego, twierdząc, że Austria i Prusy będą temu przeciwne, a wtenczas Anglia i Francya mogą się cofnąć od niesienia zaofiarowanej pomocy i zostawić Turcyę swemu własnemu losowi. Zapadła więc uchwała na tej Radzie, żeby było na to w obecnej chwili zawczasie i że z formowaniem legionów trzeba się wstrzymać do stosowniejszej chwili.

Wysocki odradza od wstępowania do formujących się pod dowództwem Czajkowskiego kozaków i radzi żeby czekać, gdyż on jeszcze i to niezadługo legion polski formować będzie pod sztandarem i godłem polskiem.

Z tych powodów czekamy wszyscy i mało kto zaciąga się do kozaków Sadyk-Paszy.

Turcy bardzo nam sprzyjają. Zawezwali agencję polską Czartoryskiego, którą pierwiej prowadził Czajkowski, a dziś Zygmunt Jordan, aby oficerowie wyższych stopni, rekomendowani przez X. Czartoryskiego, brali udział w tej wojnie za odpowiedniem wynagrodzeniem bez potrzeby zmiany religii. Przyjechali już niektórzy, jak generałowie Bystrzowski i Kościelski, pułkownik kawalerji Paszyc i Władysław Jordan, a wszystko to tu siedzi na Perze na żołdzie tureckim. Jedzą i piją za tureckie pieniądze, a my co nie byliśmy sługami Czartoryskich i Zamojskich musimy o własnym koszcie biedę klepać.

Po śniadaniu poszliśmy z Brzozowskim do Dolma - Bakcze, pałacu sułtańskiego nad

Bosforem, który ówczesny Sułtan Abdul Medzid, niedawno był wybudował. Sortelewski, Suchodolski i Kurowski mieli tam zajęcie przy malowaniu sufitów i malowali same kwiaty nadzwyczaj misternie i pięknie, ale im też za to nieźle płacili, bo po 5 fr. od sztuki.

Następnego dnia poszedłem z Brzozowskim do Stambułu, miasta tureckiego, przez most drewniany, który łączy odnogę morską Galatę ze Złotym Rogiem i Stambułem. Zwiedziliśmy Bazar, Meczet, dawniej kościół św. Zofii, starodawnej architektury, Wielką Portę, Seraskierat (pałac minister.), groby sułtanów i wiele innych ciekawych rzeczy. Kilka następnych dni spędziliśmy na dalszem zwiedzaniu różnych osobliwości. Kupiłem sobie słownik i rozmówki francusko-tureckie i wcale już nieźle mogłem się wkrótce po turecku rozmówić. Szukałem też jakiego zajęcia, ale niestety, starania moje nie zostały pomyślnym uwieńczone skutkiem, bo jak na złość roboty żadnej nie było, a malować mimo szczyrych chęci nie byłbym potrafił.

Postanowiłem więc udać się z listem od mego azjatyckiego paszy — wprost do mi-

nistra wojny, z prośbą o zamieszczenie mnie tymczasowe w armii tureckiej. Bez trudności dostałem się do niego, adjutant ministra siedzący w poczekalni zameldował mnie i w kilka chwil znalazłem się w gabinecie Seraskiera Paszy.

Seraskier, młody jeszcze, przystojny mężczyzna, przyjął mnie bardzo uprzejmie a wysłuchawszy mą prośbę zadzwonił na siedzącego w drugim pokoju adjutanta i w języku francuskim polecił mu zaprowadzić mnie do Sadyka-Paszy.

W kilka sekund znaleźliśmy się w pięknie urządzonym salonie, towarzysz mój zapukał do drzwi a na odpowiedź, która z wnętrza ozwała się w języku tureckim, weszliśmy do środka. Siedział tam na kanapie Turek, nie młody już mężczyzna, twarz śniada, ściągała i chuda, głowa i broda dobrze szpakowata, z ust dwa zęby zajęcze wyglądały, ubrany był w amarantową aksamitną kurtkę suto złotem haftowaną, o kroju z turecka-kozackim. Fez ze złotym tepelikiem na wierzchu objaśniał nas o wysokiej godności wojskowej naszego gospodarza. Przewodnik mój zbliżył

się z uszanowaniem do siedzącego i począł z nim rozmawiać po turecku. Był to Czajkowski — Sadyk-Pasza.

Gdy adjutant Seraskiera wyszedł, przemówił do mnie Sadyk-Pasza po polsku i w kilku słowach rozwinął przedemną swój program polityczny i wojskowy.

— My z kozakami Zaporozża jeszcze razem pohulamy mazura z Moskalami i pokazemy światu, co to kozacy tureccy zdziałali, bo oni przecie są pobratymcami Zaporoskich, zamieszkali tylko na ziemi tureckiej jako wolni, niechcąc znosić knuta moskiewskiego. Z politycznych względów, aby Austrii i Prus nie drażnić, musimy i my Polacy w ich szeregach stanąć, ale nas jest i więcej i pod każdym względem wyżej od nich stoimy, w krótkim więc czasie weźmiemy nad nimi przewagę, ale dla formy musimy nosić ich nazwę, a co potem się stanie, to Bóg wiedzieć raczy, ale ja mam nadzieję, że wszystko dobrze będzie.

Porozmawiawszy jeszcze chwilę ze mną, zawołał Sadyk-Pasza Czausza i polecił mu poprosić do siebie Ali-Mehmet-Bin-Paszę.

Za chwilę wszedł jakiś wyższy oficer turecki i pozdrowiwszy uprzejmie Sadyka w tymże języku, pyta go o rozkazy. Sadyk na to.

— Oto jest Polak, pragnący zaciągnąć się do naszych kozaków, trzeba mu dać przewodnika do koszar pułkownika Przewłockiego.

Na to Ali-Mehmet-Bin-Pasza przysuwa się do mnie i powiada:

— Jak się masz Marsie?

— Czy Luboradzki, odpowiadam.

W rzeczywistości był to Luboradzki, mój dawny dobry znajomy z czasów podróży do Wrocławia i pobytu u ks. Sułkowskiego w Słupi. — Pożegnaliśmy się obaj z generałem i udaliśmy się do kancelaryi Luboradzkiego. Ten mi w tak pięknych barwach przedstawił Czajkowskiego i przyszłość naszą, że dałem mu słowo, że natychmiast wstępuję do kozaków. W parę minut potem przyprowadził służbowy kozak dwa konie i w pół godziny byliśmy w koszarach Taut-Paszy, gdzie konsystowali kozacy pod komendą pułkownika Przewłockiego Klemensa.

Wciągnięty zostałem do księgi komputo-

wej, ale że prawie wszyscy ze względów politycznych zapisywali nie swoje prawdziwe, lecz wymyślone nazwiska np. Ostoja (Suchodolski), Mucha (Czajkowski) itd., więc i ja zapisałem się jako »Leopold Mak«, rubrykę, gdzie trzeba było wpisać stopień zostawiłem en blanc, ale pułkownik wziął pióro i wpisał »podoficer« mówiąc:

— Oficerem nie mogę Cię pisać, raz że na teraz niema miejsca, powtóre, że w kawaleryi nigdy nie byłeś, ale mianuję Cię podoficerem, a przyjdzie niedługo czas, że i oficerem zostaniesz.

Podziękowałem mu za łaskawe względy i poprosiłem dla uporządkowania spraw moich, o kilkodniowy urlop, którego mi też zaraz udzielił.

Przedtem jednak poszedłem wspólnie z oficerami i mym przyszłym wachmistrzem p. Kleczeńskim na kolację. Pan Kleczeński, był to szlachcic, koroniarz z r. 1831-go, szpakowaty, trochę otyły, ale służbę wachmistrza dobrze znał i z wielką energią, akuratnością i pilnością ją prowadził. O ludzi swoich dbał i miał pełny swój magazyn, choć tam od

Turków trudno było co wyciągnąć, ale on umiał z nimi gadać.

Nazajutrz rano udałem się do Konstantynopola i na Pera wprost do moich kolegów. Zastałem był tylko Brzozowskiego, inni udali się do swoich zatrudnień. Brzozowski mi ogromnie zganił moje wstąpienie do kozaków, skoro mu jednak wyłożyłem moje racje, że przyjechałem do Turcyi nie na to, żeby politykować, lecz bić się, przyznał mi słuszność, a nawet na zgodę wypiliśmy wraz z resztą kolegów, którzy tymczasem nadeszli, kilka butelek wina.

Po obiedzie poszedłem na Galatę, gdzie sprzedałem żydkom wszystkie niepotrzebne mi części garderoby. Z paltota granatowego kazałem sobie zrobić kurtkę kozacką, prócz tego kupiłem spodnie uniformowe, buty i ostrogi.

Na drugi dzień zgłosiłem się do służby w koszarach, zafasowałem całe umundurowanie a prócz tego dywanik i drobiazgi potrzebne żołnierzowi. Mundur był niezmiernie lichego gatunku i tak źle zrobiony, że pułkownik, któremu się w całym rynsztunku po-

szedłem zaprezentować, nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Mimo to dał mi miejsce 2-go podoficera w I. plutonie, gdzie pierwszym podoficerem był Węgier.

Miejsca w koszarach było dosyć, obrałem sobie zatem w sali wygodną kwaterę; za ordynansa zgodziłem za małym wynagrodzeniem młodego kozaka, Bułgara z rodu, a umieściwszy się na dobre zabrałem się do nauki regulaminu dla kawalerii. Wiele z tego umiałem, bo już przedtem w Krakowie uczyłem się robić lancą i pałaszem, to też skoro pułkownik następnego dnia lustrował nasz pluton, tak mu się moje wiadomości spodobały, że po kilku obrotach powiedział »haraszo« (komenda i język służbowy, były u nas jak już wspominałem ruskie) i oddał mi komendę plutonu. Obowiązkiem moim było robić rano i popołudniu po 3 godziny mustry z moim plutonem. Mój kolega podoficer Węgier był wachmistrzem plutonowym i sprawował wydział gospodarza, z czego bardzo się zgrabnie wywiązywał, bo wszystkiego, nawet i wina mieliśmy poddostatkiem.

Powoli gromadziło się pod nasz sztandar

coraz więcej ludzi — Bułgarzy poszukiwani przez policję turecką, obawiając się by ich Turcy w workach z kamieniem do nóg przywiązanych nie rzucili w nurty Bosforu delfinom na pożywienie, Serbowie uciskani przez urzędników sułtańskich, wszystko ciągnęło do nas, bo mundur kozacki chronił ich przed samowolą władz i poddawał pod prawo wojskowe.

Skoro nas się już wielu zebrało i pułk był prawie w komplecie, przyjechał nasz pułkownik i kazał nam wszystkim nazajutrz czekać w gotowości, ile że ma przyjechać Sadyk-Pasza z komisją turecką i wręczą nam konie; dotąd bowiem robiliśmy tylko mustrę pieszą.

O oznaczonym czasie stanęliśmy plutonami na dziedzińcu i przyznać trzeba, że w swych kurtkach kozackich i fezach z buńczucznie zwisającymi tepelikami, wyglądaliśmy wcale dziarsko. Wkrótce nadjechał minister wojny Seraskier-Pasza, Sadyk-Pasza, Ataman wojsk kozackich obok niego. Skoro nadjechali przed nasz front, wykrzyknęliśmy na komendę pułkownika wszyscy razem »Pa-

diszah czok jasza« trzy razy (a znaczy to niech żyje sułtan).

Seraskier-Pasza pozdrowił nas w krótkich słowach po turecku, poczem na rozkaz Sadyka-Paszy ruszyliśmy ku stajniom, gdzie czekały na nas konie.

Udało mi się wybrać niezłego ogiera młodego jeszcze nie siadanego.

Po odjeździe komisyi zaczął się znów nowy kłopot w nauczaniu ludzi co nigdy nie mieli do czynienia z końmi, zwłaszcza surowymi, jak się mają brać do nich. Niektórzy pospadali z koni, konie pouciekały, goń za nimi, łapaj, trzymaj, przecie w końcu i to się załatwiło. Jedni Bułgarzy co niezłe konia zażyć umieli, ale najgorsi żydkowie, a tych miałem pięciu w moim plutonie.

Koń mój na pozór okazały, zaczął wnet kulać, myślałem więc nadtem jak by go wymienić na coś lepszego. Przyszedł mi z pomocą mój wachmistrz Węgier, bo poradził mi, że u Bakczich (wartowników) przy rządowych koniach można za małą dopłatą wymienić konia. Posłuchałem dobrej rady i w nocy za sto piastrów i mego gałgana

dostałem od Bakczich wspaniałego ogiera, złotego kasztana, bez mała szesnastej miary, a przytem czystego Araba.

Kasztana tego wyciągnął odemnie major Luboradzki i miałem nawet o to kłopoty od pułkownika i mego rotmistrza Piotrowskiego Bin-Paszy, zem się takiego wierzchowca pozbył.

Za parę dni była znów parada, bo nadjechał Sadyk-Pasza z generałem księciem Stourdzą. Wystąpiliśmy już wszyscy w mundurach, oficerowie zwłaszcza wspaniale wyglądali. Nasz pułkownik ubrany był w mundur granatowy, wyloty jak u kontusza, amarantową morą podbite, pas metalowy, złotony i kamieniami wysadzany, pałasz turecki, z rękojeścią także złotą w kamienie drogie ozdobną, więcej do karabeli, niż do pałasza podobny, kołpak czarny, z włosom lśniącym, wierzch amarantowy aksamitny, spadający w kształcie sernego worka na lewe ucho, z kutasem złotym na końcu. A wszystko to zdobiło czaple pióro do kołpaka przypięte. — Oto jest krótki opis przedstawiający pułkownika kozaków sułtańskich w całej gali. Bin-



Pasza Piotrowski ubrany był podobnie, tylko wszystkie odznaki miał srebrne.

* * *

Tak mijały dnie i tygodnie. Pułk nasz był już w komplecie — mieliśmy pełnych sześć sotni, gdy pewnego razu przyjechał nasz pułkownik i przywiózł nam wiadomość, że za trzy lub cztery dni wyruszamy na linię bojową przez Adrianopol i Szumłę pod Widdyń. Na tę wieść wszystkie żydki z mego plutonu w nocy uciekły, ale nie powiodło im się, bo wysłani do dnia kozacy przyprowadzili ich ku wieczorowi do koszar. Zyskali tylko tyle, że później przez parę dni jechali na wozach, póki im siedzenia, na których ukarani zostali, nie wydobrażyły.

Nadciągnął i Sadyk-Pasza z księciem generałem Stourdzą, ich adjutanci, psy i wozy i w połowie grudnia wyruszyliśmy w drogę.

Zima już była silnie chwyciła i drogę mieliśmy ciężką, zwłaszcza kiedy weszliśmy w Bałkany. O furaż było trudno, a i my lekko ubrani kurczyliśmy się z zimna. Lody na rzekach już stanęły, ale lód słaby

nie strzymałby ciężaru naszych wozów, musieliśmy więc lancami łamać sobie ulice w lodzie.

Pewnego dnia mieliśmy postój w jakimś miasteczku górskim. Głodny i zziębnięty poszedłem z porucznikiem mym Markowskim do sklepu pewnego Greka, kazałem dać kiełbasek i wódki, zapłaciłem ile chciał i wychodzę, a tu Grek chwytą mnie za mundur i woła, że go oszukał. Zirytowany palnąłem Greka w papę, aż się przewrócił. Zrobił się krzyk i gwałt i na to nadjechał pułkownik. Czy był podchmielony, czy też czem zirytowany nie wiem, dość, że natarł na mnie pałaszem i chciał mnie uderzyć. Usunąłem się na bok, pałasz na polecenie pułkownika oddałem adjutantowi, nie zdołałem się jednak powstrzymać, aby pułkownikowi, który żadnych moich tłumaczeń słuchać nie chciał, kilku słów prawdy nie powiedzieć i to niezbyt pochlebnych.

Zaaresztowano mnie i zamknięto na noc w małej ciupce. Poczciwy ordynans przyniósł mi kolacę, siennik i świeczkę. W nocy przy-

szedł do mnie Smoleński, adjutant pułkownika i mówi mi.

— Sadyk-Pasza wie o wszystkim, ogromnie się na ciebie zaciął, każe cię z pewnością za niesubordynację rozstrzelać, otóż pułkownik przysłał mnie z propozycją, naturalnie w tajemnicy, że ci da pieniędzy na drogę i cywilne ubranie i żebyś zmykał czemprędzej. Pułkownik uznaje niestosowność swego postępku, wobec usposobienia Sadyka-Paszy nie może jednak nic dla ciebie zrobić.

Propozycyi tej nie przyjąłem, nie chciałem uchodzić za dezertera i to w takich jeszcze warunkach, czekałem więc, przyznam się, niespokojnie, co się ze mną stanie.

Nad ranem przyszedł po mnie adjutant Sadyka-Paszy Tatar Mucha, ale pocziwy kolega sercem i duszą Polak i pod eskortą sześciu kozaków tulczańskich, starowierców, co się z nami w drodze połączyli, prowadzi mnie do Sadyka-Paszy. Sadyk wyszedł z pokoju i nakazał kozakom »Głedajcie jowo, sztoł nie uszoł, kak by chatił adnom szagom na pierod, ubit' jowo«, a do mnie obróciwszy się wrzasnął:

— »Ja tiebie skuszam«, poczem wrócił do siebie.

Tymczasem zaczęli się schodzić oficerowie na sąd wojenny. Najstarszy rangą w tym sądzie był major Greczelesko, Wołoch z Bukaresztu, zacny człowiek i przyjaciel Polaków, to też otucha we mnie wstąpiła.

Zawezwano i mnie. Sadyk-Pasza, który sądowi przydował, wniósł na mnie oskarżenie i miał dość długą przemowę do oficerów, że mu to przychodzi z nadzwyczajną przykrością, ale dla przykładu musi mnie jak najsurowiej ukarać, a w końcu objaśnił zebranych, że w myśl przepisów kozackich potwierdzonych przez samego Padyszacha, hetman kozacki wydaje wyrok a oficerowie podpisują i jeśli większość obecnych podpisze, to wyrok zaraz się wykonywa bez żadnego rekursu.

To powiedziawszy, począł dyktować Luboradzkiemu, który pełnił funkcje sekretarza jak następuje:

— My Sadyk-Pasza, ataman kozaków tureckich, podoficera Maka, służącego w tychże kozakach, jako krnąbrnego, zuchwałego, nie-

godnego służyć tej świętej sprawie, a szczególnie za upicie się i zrobienie burdy z pułkownikiem rozstrzelać rozkazujemy.

Wyrok ten kazał Luboradzkiemu odczytać i daje go do podpisu majorowi Greczelesko. Major, który nie umiał po rusku każe sobie tenor wyroku tłumaczyć na francuskie, a ja tymczasem myślę sobie »czy Sadyk oszalał, czy co?« I w głowie ułożyłem plan, że w razie jeśli major ten wyrok podpisze, to porwę pierwszemu z brzegu kozakowi karabin i zastrzelę Sadyka a potem siebie. Ale Greczelesko zerwał się z oburzeniem i powiedział, że takiego wyroku nie podpisze, a gdyby większość była przeciwnego zdania, to on takiego barbarzyństwa nie zniesie i z kozaków wystąpi. Inni oficerowie wstali również i nuż w prośby do Sadyka, żeby wyrok złagodził.

Sadyk na to zwraca się do Luboradzkiego: »Pisz drugi wyrok: My Sadyk-Pasza, hetman kozaków tureckich w sprawie podoficera Maka wyrok łagodzimy w ten sposób, że nie rozstrzelać go, ale ogolić pół głowy, pół wąsa, obciąć ucho i na rok do więzienia

tureckiego odesłać — rozkazujemy«. Po odczytaniu tego wyroku nastąpiła cisza, aż znów po chwili, Greczelesko wystąpił z wyrzutami do Sadyka, że wyrok ten jest jeszcze bardziej barbarzyński niż pierwszy, że stokroć lepiej ponieść Polakowi śmierć, niż doznać takiego shańbienia. Wszyscy inni przyłączyli się do jego zdania i ostatecznie zapadł wyrok, że mam być z kozaków wydalony.

Usilnym prośbom wszystkich oficerów udało się skłonić Sadyka-Paszę, że mnie napowrót do kozaków przyjął, obiecał mnie jednak przenieść do oddziału majora Wierzbickiego, który czekał nas w Adrianopolu.

Pułkownika przeprosiłem, a że to był zacy człowiek i sam swego wybuchu żałował, pogodziliśmy się najzupełniej.

Ostatni etap odbyłem na furze wraz z całym taborem. Wozy w Bułgarii są robione z samego drzewa, tak, że ani gwoździa ani kawałka żelaza nigdzie nie dopatrzysz, koła na osiach niesmarowanych, piszczą każde swoim torem, dodaj do tego ryk bawołów, a będziesz miał orkiestrę »non plus ultra«.

Z taką to muzyką jechałem cały dzień, aż na wieczór stanęliśmy w Adrianopolu.

* * *

Tego samego dnia zaprowadził mnie pułkownik do mego przyszęłego szefa, majora Tomasza Wierzbickiego i zarekomendował mnie jak najlepiej. Wierzbicki, b. oficer z r. 1831-go i major wojsk węgierskich z 1848 r., człowiek gładki, miły i dobry podobno Polak, dał mi miejsce podoficera w trzecim plutonie. Bezpośrednim moim przełożonym i komendantem plutonu był N. były kucharz Sadyka-Paszy, człowiek prosty i niewykształcony, na służbie nie wiele się rozumiał, muszę mu jednak przyznać, że nie dawał mi uczuć swojej przewagi i w wielu wypadkach do rad moich się stosował. Kilkodniowy pobyt w Adrianopolu zeszedł nam na murze i ćwiczeniach, poczem wyruszyliśmy do Szumli, jednego z największych miast i najsilniejszej fortecy w Bułgarii.

Tam skoncentrowana była cała armia turecka pod dowództwem Omera-Paszy, jeden zaś korpus pod Mustafą - Paszą stał około Widdynia i w Kalafacie bronił przejścia Dunaju.

Marsze wypadały nam przez okolice ładne, gęsto zaludnione i dosyć zamożne, ale mimo to naród bardzo zaniedbany, szczególnie mężczyźni, nie umiejący wogóle czytać, ani pisać, mówiący językiem słowiańskim i tureckim. Chodzą w kerpciach, noszą gunie wełniane własnego wyrobu, podobne do naszych góralskich. — Kobiety dosyć przystojne, lubią się ubierać w błyskotki, szczególniej pieniądze srebrne i złote, które przedziurawiają i nawlokłszy na sznurki zawieszają na głowach i piersiach. Stamtąd to pochodzą te pieniądze z dziurkami, które i u nas czasem się pojawiają. Wyznania są grecko-unickiego, lub schyzmatyckiego. Cerkwie małe, ubogie. Popy — Rusini nieporządni, nędznie ubrani z głowami rozczochranemi, nigdy nie uczesani, tak samo jak i Bułgarzy. A przecież ich byt materyalny jest dobry.

W czasach kiedy tam przechodziłem, gospodarz posiadał jeszcze tyle gruntu ile mógł uprawić a sianożęci ile sobie mógł zebrać. Inwentarza posiadali bardzo wiele, dwadzieścia do trzydziestu koni, sto do dwustu owiec, para i dwie bawołów, krów i trzody

odpowiednio, z drobiu szczególnie dużo kur, te też najwięcej na naszym marszu cierpiały, ale za to później takiego miały przed nami stracha, że kiedy wchodziliśmy do jakiej wsi, narobiły ogromnego krzyku i pochowały się tak, że ich nawet sama gospodyni znaleźć, ani zwołać nie mogła.

To też w czasie tego marszu nieźle nam się działo, bo i ludność poznawszy w nas chrześcijan, życzliwiej się do nas odnosiła, niż do Turków.

Kwatery miewałem zwykle porządne — przykro mi tylko było, że dla mnie niewiasty domowe usuwały się ze swych mieszkań i nocować musiały po stajniach, śpichlerzach, a trzeba było wiedzieć, że śpichlerz bułgarski jest to dół wykopany w ziemi w miejscu suchem, wyłożony plecionką ze słomy i takimże wiekiem przykryty. W zimie to wszystko przysypują ziemią.

Poznałem też niejedne osobliwe potrawy bułgarskie, jak banica, rodzaj naleśników z serem itp. a baraniny najadłem się jak potem już nigdy w życiu.

Pieśni wojenne. Lord Stuart. Lustracya pułku przez Omera-Paszę. Przybycie do Kalafatu. Ataki rosyjskich kozaków. Generał Iliński (Iskander - Pasza). Kapitan Wójcik bijący się w szeregach tureckich, zabija Wierzbickiego, brata naszego majora. Żydzi w bitwie żegnają się znakiem św Krzyża. Odwrót Paszkiewicza.

Ostatniego dnia przed przybyciem do Szumli, odbył Sadyk-Pasza przegląd swoich hufców. Przedefilowaliśmy przed nim trójkami, poczem Sadyk zakomenderował: »Piewcy na pierod«, oficerowie powtórzyli komendę i oddział śpiewaków wysunął się na czoło pochodu.

Sadyk-Pasza był muzykalny i nadzwyczaj lubił śpiew kozaczy, to też zwykle w miejsce muzyki śpiewaliśmy rozmaite piosenki poprzerabiane na nutę marszową. Najczęściej były to dumki ukraińskie. Przewodnikiem naszym w tem był major Mucha, to też jak kilkudziesięciu przez niego wybranych mołojców huknęło np. »Hej kozacze na wraha! hura ha, hura ha«, to się dusza radowała, konie nawet w takt szły, a Czajkowski się tylko uśmiechał i powtarzał »haraszo, haraszo«. Ten marsz »Hej kozacze na wraha« był ulubionym śpiewem bojowym czcigodnego majora Różyckiego, dowódcy pułku Wołyńców w 1831 r., w którymto pułku służył Czajkowski i stąd to może miał do niego Sadyk-Pasza predylekcyę.

Przy dźwiękach tego marsza wyjechali-

śmy na górę i pokazało się nam w dole miasto Szumla w całej okazałości. Kazał nam się Sadyk zatrzymać. Czekamy i spoglądamy na piękny widok, nagle widzimy jak od Szumli pędzi na koniach dwóch jegomościów w cywilnych ubraniach, jeden z nich wysoki w popielatym ubraniu i cylindrze, a że miał małego konia, więc prawie nogami po ziemi włóczył.

Wysłał Sadyk-Pasza przeciw nim Luboradzkiego, a skoro się trochę zbliżyli, sam naprzeciw wyjechał.

Jegomość ów w popielatym cylindrze był to Anglik Lord Stuart, polityk, kochający Polaków, przyjechał na linię bojową w celach politycznych, a dowiedziawszy się, że nadchodzimy wyjechał na nasze spotkanie. Obejrzał dokładnie nasze umundurowanie i uzbrojenie, a zobaczywszy pałasze, które były krótkie, gniewał się i rzucał na Turków, nawet wyrzucał Sadykowi - Paszy, jak mógł przyjąć taką nędzną broń, a w końcu dodał, że dziś będzie telegrafował do Londynu o pałasze i rewolwery dla nas. Po chwili ruszyliśmy ku miastu. Sadyk - Pasza

i Anglik, któremu dano już lepszego konia, jechali na przodzie.

Tak przybyliśmy do Szumli. Kwatermistrze wskazali nam miejsce, przygotowane dla nas na obóz, a Sadyk - Pasza z Anglikiem i sztabem swoim pojechali ku miastu.

Po załatwieniu niecierpiących zwłoki czynności i umieszczeniu swych ubogich statków żołnierskich w przeznaczonym dla mnie namiocie, poszedłem spać, a następnego dnia z rana zameldowałem się do majora Wierzbickiego z prośbą o zezwolenie na zwiedzenie miasta. Po obiedzie wybrałem się też do Szumli.

Miasto to wcale duże, ale brudne, ulice przeważnie nie brukowane, zanieczyszczone gnojem i odpadkami, psów, jak wszędzie w Turcyi, mnóstwo się wałęsa, mimoto dużo ładnych nawet dwupiętrowych kamienic, bogatych sklepów, zwłaszcza ormiańskich, wspaniały bazar i t. d.

Udało mi się trafem kupić na bazarze od Ormianina pałasz, bardzo pięknej roboty i stosunkowo niedrogi bo za 50 piastrów. Pałasz ten służył mi przez całą kampanię

i z żalem rozstawałem się z nim wracając po kilku latach do domu, ale bo też wart był tego.

Wracając do obozu spotkałem kilku oficerów wychodzących z kawiarni. Zobaczywszy mnie, poczęli namawiać, abym wraz z nimi spróbował szczęścia w karty. Kawiarnia ta bowiem była publicznym domem gry, gdzie Grecy bank trzymali.

W obozie zastałem ruch, bo wedle zapowiedzi pułkownika następnego dnia miał przyjechać naczelny wódz Omer-Pasza i cały nasz oddział zlustrować. O ósmej rano byliśmy już na placu zbornym. Ruch, krzyk, zamieszanie, oficerowie od zmysłów odchodzą ze złości, bo żołnierze mając polecenie ponawiać swoje podarte mundury, połatali je czem kto miał, a więc płótnem z worków, kawałkami derek i jednym słowem wyglądali jak arlekiny.

Jedna sotnia pod komendą majora Wierzbickiego porządniej wyglądała, ale to z tej przyczyny, że była później zorganizowana i krótszy marsz odbyła, bo dopiero z Adrynopola.

Pułkownik był w rozpacz, ale cóż mógł w tak krótkim czasie poradzić? Dają znać, że Omer-Pasza nadjeżdża. Staaliśmy frontem jedna sotnia obok drugiej, pułkownik z dobytym pałaszem wyjechał na spotkanie gości.

Omer-Pasza ze sztabem, Sadyk-Pasza ze swym sztabem, generał hr. Zamojski Władysław, generał ks. Stourdza, Lord Stuart i wielu innych tureckich dygnitarzy stanęli przed naszym frontem, obejrzel nas na wszystkie boki, poczem wykonaliśmy przed Omerem defiladę. Wódz naczelny nie był z naszego umundurowania zbyt zadowolony i rozmawiał coś dużo z Sadykiem i Zamojskim, ale co sobie powiedzieli, nie wiem.

Po odjeździe dygnitarzy pozbijali się oficerowie w kupki i rozprawiali nad wrażeniem, jakie nasi kozacy wywołali na Omerze. Utrzymywano powszechnie, że Sadyk wykazał dostatecznie swoje niedołęstwo i że komendę nad nami obejmie Zamojski. Tem więcej nas to przekonywało, że nasi kozacy, którzy tak u Zamojskiego, jak i u Stuarta na służbie by-

wali, opowiadali, że Zamojski publicznie się z tem daje słyszeć.

W parę dni właśnie, gdyśmy odbywali codzienną poranną mustrę nadjechał do naszej sotni Sadyk-Pasza. Widać, że był z naszych obrotów zadowolony, bo tylko ciągle się uśmiechał.

Po skończonych ćwiczeniach zawołał majora Wierzbickiego i oświadczył mu, że za dwa dni pójdzie nasza sotnia na linię bojową pod Widdyń do Kalafatu, pod komendę generała Izmaïła-Paszy.

Kazał potem przywołać wszystkich oficerów i głośno oświadczył:

— Krążą tu między wami wieści, że generał Zamojski ma objąć nad wami komendę, nie wiem czy zdołałby się na to odważyć, ale gdyby mu się coś podobnego zachciało i ja go w tej myśli tutaj zastał, tobym mu sto batów kazał wyliczyć, bo ja nie dla niego pracowałem.

Na drugi dzień hr. Zamojski i Lord Stuart wydali obiad dla naszych oficerów i pożegnali się z nimi, przed wyjazdem swym do Konstantynopola. Lord Stuart serdecznie nas po-

żegnał i obiecał naszą sprawę poruszyć w parlamencie.

Jenerał Zamojski zaś oświadczył, że ma nadzieję powrócić z Anglii i na żołdzie angielskim organizować legiony polskie.

W oznaczonym dniu, skoro już gotowi byliśmy do jazdy — nadjechał Sadyk-Pasza i gorącą przemową nas pożegnał. Przy końcu zwrócił się do majora i odezwał się:

— Podoficer Mak spełnia już teraz służbę porucznika, nie mogę go zamianować, bo nie ma miejsca w stanie oficerskim, proszę Cię majorze przyślij go przy okazji do mnie, a w nowo organizujących się sotniach dam mu miejsce lieutenanta. A teraz jedźcie z Bogiem w imię świętej sprawy naszej.

To powiedziawszy pobłogosławił nas, poczem zwrócił konia i odjechał ku Szumli a my ze śpiewem pokłusowaliśmy dalej.

Czas był prześliczny, wiosna w całej pełni, pogoda ciągnęła, okolica ładna, równie okiem nie przejrzana. Dziwny tylko widok, że prawie wsi nie widać, bo ludzie mieszkają pod ziemią tak, że osada taka wygląda jak cmentarz pokryty mogiłami. Bydło zato ko-

czuje na polu w ogrodzeniach, a tylko na zimę biorą je ludzie pod ziemię do siebie.

Takimi to okolicami i wśród takich ludzi maszerowaliśmy przez dwanaście dni z wypoczynkami. Życie było niezłe, ale noclegi okropne, bo Bułgarzy są bardzo niechlujni i na każdym noclegu tak mi plugawstwo dokuczało, że rady dać sobie nie mogłem. W końcu sypiałem na powietrzu pod płaszczem. Żywność była zawsze ta sama: rosół z kury z ryżem, baranina na pieczyste, banica na legominę, do tego butelka wina. Z każdej kwatery dostawałem prócz tego wina do manierki, którą sobie sporządziłem z tykwy.

Bułgarzy widząc w nas chrześcijan, przyjmowali nas serdecznie i gościnnie, nie mogli tylko pojąć, jak chrześcijanie mogą Turkom przeciw chrześcijanom pomagać i powiadali, że to już będzie koniec świata i że przyszła już ta chwila, kiedy brat brata, ojciec syna, syn ojca zabijać i mordować będzie. Patrząc na nas wzdychali i modlili się »Hospody pomyluj«.

Do Kalafatu przybyliśmy późno wieczór,

bo nie mając odpowiednich promów do przeprowady kawaleryi, musieliśmy przeprowadzić się łodziami po dwóch i to nam zabrało wiele czasu. W obozie zastaliśmy przygotowane dla nas miejsce, Turcy odstąpili nam dość namiotów, tak, że w czterech, mieliśmy jeden namiot.

Rozstasowałem się w swym namiocie i zapaliwszy świecę począłem swoje rzeczy porządkować. Nagle patrzę a tu buty moje zupełnie białe — przyglądam się bliżej a to takie miliony owadów, że aż się roi. Obraliśmy z żołnierzami to plugawstwo a wytrzepawszy namiot rozbiliśmy go na innem zupełnie świeżem miejscu.

Ledwie tę czynność skończyłem dał się słyszeć głos trąbki na alarm. Zerwaliśmy się i w tej chwili zjawił się major i zakomenderował »atta bin!« (na koń!). Ruszyliśmy w cwał w kierunku strażów, które zaraz ucichły. Byli to kozacy rosyjscy, którzy zaatakowali nasze forpocztę. Skoro przyjechaliśmy na miejsce, już ich nie było. Wróciliśmy nad ranem do obozu.

Ku wieczorowi przyprowadzili kozacy nasi

kilka porządnych wieprzów, zdziwiliśmy się skąd się te wzięły w tureckim obozie, ale zagadka wyjaśniła się wkrótce. Oto Turcy zajawszy Kalafat, usunęli stamtąd mieszkańców Wołochów i choć ci, wyprowadziwszy się, zabrali ze sobą cały inwentarz, to biedne wieprzaki powracały na swoje miejsca rodzinne, gdzie Turcy nietylko ich nie zabijali, ale omijali je z daleka jako nieczyste stworzenia.

Noc w noc niepokoił nasz obóz rosyjscy kozacy, czem zirytowani zrobiliśmy jednej nocy na nich zasadzkę. W trzydzieści koni ukryliśmy się w krzakach przed linią forpocztów, przepuściliśmy kozaków przed siebie i z tyłu ich zaatakowali; uciekli jednak wszyscy prócz jednego, którego lancą zsadziłem z kulbaki.

Odtąd już noce mieliśmy spokojne i tak dnie i tygodnie upływały nam beczynninie. Nie wiem, czy z mięsa wieprzowego czy też z czego innego rozchorowałem się na świerzb czy coś podobnego, doktor Turek przepisał mi jakieś smarowidło a oprócz tego musiałem codzień chodzić do Widdynia do łaźni.

Po kilkunastu dniach przyszedłem do siebie. Wieprzów już mało jadalśmy — bo i Wołochy ich lepiej pilnowały i wieprze same zmądrzały.

Jednego dnia zrobił się rwetes w obozie, wszystko wyległo na plac, patrzeć na wyjazd nieregularnej kawaleryi t. zw. baszybozuków, którzy pod dowództwem Iskandera - Paszy (generała Aleksandra Ilińskiego) do obozu nadciągnęli.

Muszę tu nadmienić, że Iskander - Pasza b. adjutant generała Bema o tyle był dzielny żołnierzem i sercem i duszą oddany naszej świętej sprawie, o ile Sadyk - Pasza tchórzliwym pyszałkiem. Kiedy Iliński pierwszy brał udział we wszystkich bitwach, to Czajkowski siedział bezpiecznie w Szumli i niby to formował dalej kozaków.

Prawie równocześnie z wyjazdem baszybozuków poczęły od strony rosyjskiej grać armaty i armia cała poczęła na nas następować.

W jednej chwili rozbiegli się ze sztabu Ismaela - Paszy adjutanci z rozkazami, gdzie który oddział ma stanąć. Nam wypadło miej-

sce naprzeciw kozaków moskiewskich. Licho jednak strzelali, bo kule albo nas przechodziły, albo daleko przed nami upadały. Równocześnie Iskander-Pasza na czele baszybozuków uderzył na kawaleryę moskiewską. W szarzy tej spotkała naszego majora smutna przygoda, bo adjutant Iskandra - Paszy kapitan Wójcik, z zawodu mydlarz z Warszawy, zabił Wierzbickiego, brata jego, wyższego oficera w ułanach rosyjskich.

Za przykładem Iskandra i my poszliśmy na kozaków. Nie dotrzymali nam placu i uciekli, mimo, że i nasi kozacy z początku nie zbyt dzielnie się spisali. Po pierwszych, kulkach, które im nad głowami przeleciały prawie połowa mej sotni leżała czołem na karku końskim i nawet żydki za przykładem innych nabożnie się żegnali. Skoro jednak przyszedł rozkaz do ataku, we wszystkich jakoś duch wstąpił a przecie tak nam szczęśliwie poszło, że prócz kilku rannych lekko, nie mieliśmy ani w ludziach ani w koniach żadnej straty.

Na całej linii wygrana przechyliła się na naszą stronę i dowódca rosyjski Paszkiewicz

musiał ze stratą kilkutysięcy ludzi zwrócić się ku Sylistryi.

Była to pierwsza bitwa w jakiej wogóle kozacy sułtańscy brali udział i dumny byłem z tego, że wraz z sotnią majora Wierzbickiego, jeden z pierwszych, odebrałem chrzest ogniowy.

Następnego dnia wezwał mnie major i wspomniawszy na słowa Sadyka wypowiedziane o mnie przed odjazdem, kazał mi przygotować się do jazdy do Szumli, dokąd miałem Czajkowskiemu zawieźć ważne depesze.

.....

Na tem się kończy rękopis ś. p. Leopolda Marsa.



18976



NOWE KSIĄŻKI
LUDWIKA STASIAKA.

Obrona sztandaru mieszczańska powieść historyczna.

Pieniądz powieść z życia artysty.

Gadzina powieść pruska.

Krwawe ręce powieść z dziejów rzezi galicyjskiej.

Rycerzy spiący w Tatrach powieść historyczna.

Pomsta powieść z dziejów dawnego mieszczaństwa polskiego.

W zapadłym szybie powieść z życia górników.

Humoreski.

Nowe Humoreski.

Trzecie Humoreski.

Czwarte Humoreski.